ZBIÓR NOWEL

I

Biblioteka „SZTANDARU POLSKIEGO"

Paryż 1946

281

MARIA KONOPNICKA

Bronisław Mazowiecki
Paryż

Marjanna w Brazylii

Nowela ta została napisana przez Marię Konopnicką *w okresie wielkiej emigracji ludu polskiego do Brazylii w końcu XIX i z początkiem XX wieku.*

Ile razy spojrzę na „Listy Dygasińskiego z Brazylii", a pomyślę, jaką to on przeszedł biedę, nim się z ludźmi tamtejszemi porozumieć zdołał, tyle razy żałuję, że zamiast udawać się do konsulów, do dziennikarzy, do inspektorów i do hrabiów, nie udał się Dygasiński prosto do Marjanny.

Marjanna byłaby dla niego nieoszacowanym skarbem. Objaśniłaby go najakuratniej o wszystkiem: co? jak? a nadto, wyprowadziłaby go z wszelkich językowych trudności.

Trudności te nie sprawiały Marjannie żadnego kłopotu: poprostu nie istniały dla niej.

Kiedy pani jej, zaraz po przybyciu, posłała ją do wspólnej hotelowej pralni, oddanej do użytku gości, którzy mając własną służbę, sami chcieli zajmować się praniem swej bielizny, po portugalsku *„ropa"*, a właścicielka przyszła objaśnić o czasie i kolei prania — Marjanna, nieprzywykła żeby jej kto do balji nos wtykał, pobiegła na górę cała w ogniach:

— A jaki też ten naród tutejszy spierny, proszę pani, to niech ręka boska broni! Ledwo stanęłam u balji, zaraz tam przyleciała jakaś jędza i dalej na mnie: Ty taka! ty owaka! Ja tu nie myślę robić prania z całej Europy!

— Czyż podobna?

— Przecie! wyraźnie słyszałam, jak wykrzykiwała: że nie myśli ludziom z całej Europy prać. Tak ja jej na to: moja pani, jeśliś pani, bo ja tam twego państwa nie widziała! My tam nie z żadnej Europy pochodzące, tylko, z Dąbrówki, z guberni smoleńskiej! Papiery na to są! Rozumiesz pani?

— No i co?

— A cóż, zara jej buzia zmalała, zabrała się baba i poszła!

Istotnie, Marjanna była z Dąbrówki.

Nie żadna emigrantka, broń Boże, gdzież tam! Z Dąbrówki wysłała ją starsza pani panience, która była w naukach aże we Fran-

cji, w samym Paryżu, i za mąż za pensylwańczyka, prowadzącego interesy wielkiej paryskiej firmy, do Brazylji wyszła.

Wyszła, ale „nie miała wskórania", jak opowiadała Marjanna. Słaba była, tęskniła, a nadewszystko rady sobie dać nie mogła z murzyńską niechlujną służbą.

— Mamo — pisała do Dąbrówki — gdyby tu była Marjanna!

— A cóż? Możeby i wysłać Marjannę?

Szło o pensylwańczyka, jak ten projekt przyjmie. Był to skrupuł zbyteczny całkiem. Dzielny pensylwańczyk miał sobie za miłe, za najmilsze, wszystko co pochodziło z Dąbrówki, z gubernii smoleńskiej, ba, i ze wszystkich dalszych. Jeszcze, jako narzeczony, kupił on był sobie słownik polsko-niemiecko-francuski i pilnie studjował niektóre drobiazgi polskiej literatury bieżącej. Co większa, nietylko żądał, aby do niego pisano z Dąbrówki po polsku, ale nawet sam się puszczał na pisanie małych liścików w tymże, upodobanym przez siebie, języku. Z tego to czasu pochodziła owa kartka, będąca rozkoszą narzeczonej, bawiącej wtedy u matki, kartka, która po kilkakrotnych darciach i przepisywaniach, oraz po mozolnej kwerendzie w słowniku, tak brzmiała:

„U nas lało i wiało nader silnie. Kocham ciebie nader tkliwie".

Otóż, wbrew spodziewaniu, kiedy przyszło radzić się pensylwańczyka, co do wyboru służącej, projekt wysłania Marjanny o mało że nie upadł całkiem.

„Mielibyście z niej wielką pomoc, — pisała matka z Dąbrówki — sługa z niej dobra, wszystko robi, pierze".

Na nieszczęście... ale były dwa nawet nieszczęścia. Pierwsze, iż przecinek między „robi" a „pierze" przepadł gdzieś bez śladu, czemu się, przy tak długiej, a do tego mozolnej przeprawie, zgoła nie sposób dziwić; a drugie — że młodej pani nie było wtedy w mieście, kiedy list ten przyszedł. Zły klimat wypędził ją do Petropoli w góry. Dzielny pensylwańczyk, sam się tedy zabrał do odczytywania listu.

Odczytał i zrozumiał wybornie. Tego tylko nie mógł pojąć, dlaczego mu matka chce przysłać fabrykantkę zamiast sługi? Zajrzał do słownika raz, zajrzał drugi raz: jak wół wyraźnie stoi: pierze — *Federn. plumes.* Z tego nie był kontent. Po licha mu służąca z taką specjalnością?

Odbywszy tedy odpowiednie studya, tak w małej kieszonkowej metodzie, jak i w słowniku, odpisał do Dąbrówki w tych słowach:

„Dziwię się nader silnie, że kochana Mama wybrała nam tę służącą. Będzie ona fabrykowała pióra, zamiast pilnować domu. Nader tkliwie całuję ręce mamy".

Upłynęło parę miesięcy, nim się porozumiano i nim się znalazł ów przecinek w drodze zaginiony.

Tymczasem młodsza pani pisała, a pisała; list za listem gonił.

„Mamo droga! Bez Marjanny rady sobie nie dam. Mamo kochana, proszę o Marjannę, bo się tu zamęczę, zadręczę z tymi murzynami!"

Co było robić? Nie było co robić! Marjanna jechała do Rio.

Podróż ta przedstawiała jej się tak co do kierunku, jak i co do trwania swego, dość mętnie.

— Jeszcze gdzieś za Częstochową! — odpowiadała organiścinie i ekonomowej, które się o Brazylję pytały.

W dzień wyjazdu ubrała się też tak, jak się zwykle wybierała na wielkie doroczne odpusty. Wzięła na siebie nową kamlotową suknię, na to watowaną jupkę, na to dużą swoją paradną chustkę derową; zaczesała siwiejące włosy na wysoki grzebień, przykryła je czarną kordonkową siatką, na siatkę włożyła aksamitnym kapelusz, który ją zaszczytnie wyróżniał już od lat piętnastu z pośród gawiedzi wioskowej w każdą niedzielę na sumie; włożyła bawełniane mitynki, jedną rękę okręciła kokosową koronką i wzięła w nią książkę do nabo-

żeństwa, w drugiej rozwiesiła chustkę białą do nosa i stanęła gotowa do drogi — za morze.

Pożegnawszy państwo, dzieci, służbę pokojową, wychodziła już za próg, kiedy zobaczyła ulubioną kokoszę ze świeżo wylężonym drobiazgiem. Wróciła tedy raz jeszcze, sypnęła jej suto pośladu, Marynie obiecała, że ją za łeb wydrze, jeśli kania choć jedno z małych kurcząt chwyci, zajrzała do maciory, porachowała prosięta, uchyliła drzwi od karmnika, gdzie pochrząkiwał podpasany na kiełbasy wieprzak, nawymyślała Zuźce, że nie wygarnia z koryta wczorajszego jadła, i szeleszcząc wykrochmalonemi spódnicami, do krów, do obory poszła.

Dotąd trzymała się mężnie; ale kiedy Krasula zaryczała, a Kwiatucha obejrzała się na nią, opuściła nagle Marjannę moc ducha, a małe bure jej oczki silnie mrugać zaczęły. Teraz dopiero poznała co to jest rzucać przyjaciół. Byłaby się nawet rozpłakała może, ale zajeżdżający w tej chwili przed oficynę Wicek, zawadził o sernicę, na której ociekał świeżo ogrzany twaróg i omal nie wywrócił całego kramu.

To ją otrzeźwiło natychmiast. Jak stała, tak nie dbając na twoją toaletę skoczyła, Wicka zwymyślała, prasę z twarogiem naprostowała, psa który do serwatki milczkiem podchodził kopnęła, a tymczasem dziewki rade, że gospodyni w „tylośny świat" rusza, i choć ze dwie niedziel pomstować o byle co nie będzie, śpiesznie zaczęły węzełki jej wynosić, a w rękę ją całować, a fartuchy do oczu przykładać, jako że niby taka je żałość spiera. Marjanna także się udobruchała, Zuźkę i Marynę pocałowała w głowę, pogłaskała kota, pogłaskała Rozboja i głośno się pożegnawszy, zapadła w grochowiny zasłane kilimem.

Zaraz przecież od krzyża wracać chciała, bo jej się zdawało, że gęsi Maćkowe między dworskie wpadły i że je odżerają na ściernisku; ale się Wicek uparł, koniom po bacie dał i ruszyli naprzód. Kiedy Marjanna stanęła w Warszawie, okazało się, że jakoś trudno z nią będzie. Nietylko bowiem ani słowa po niemiecku nie umie, ale się gniewa jeszcze, kiedy ją o to pytamy.

— Ja? Jabym zaś po szwabsku miała, z przeproszeniem, szwargotać? Tfu! z przeproszeniem! Czy ja to nie katoliczka? Czy do spowiedzi nie chodzę, czy co?

A tu w Hamburgu, gdzie właśnie szła jej droga, nie znaliśmy żadnego polaka. Nie było rady, chyba Marjannę opisać i agentowi znanego domu handlowego listem ją polecić, żeby nie przepadła gdzie w mieście, i we właściwym czasie na okręt dostać się mogła.

Opisać? hm!... Ale jak ją tu opisać? To, że była nizka, krępa, że miała bure, małe oczki, nos kaczkowaty i poczciwą twarz czerwoną a świecącą, zdawało nam się niedostatecznem jakoś. Agent musi być o przybyciu Marjanny uprzedzonym, musi czekać na nią, poznać ją i zabrać z sobą. Trzeba ją tedy koniecznie czemś wyróżnić. Radzimy o tem, kiedy Marjanna spostrzegła wielkiego papierowego motyla na lampie.

— A to, proszę ja państwa mojego! — wykrzykuje — nie dobreby było?

Pomysł jej wydaje nam się zrazu tak komicznym, że wszyscy wybuchamy śmiechem. Ale Maryanna bierze to zupełnie serjo i gotowa jest paradować w motylu po Hamburgu.

Odczepiamy go tedy od lampy i przypinamy Marjannie która spogląda z zupełnem zadowoleniem na tę nową swoją ozdobę. Wielki, czerwony w złote centki motyl, tworzy istotnie jedyną w swoim rodzaju broszę, Marjanna rozmawia z nami jeszcze chwilę ale od czasu do czasu patrzy ukradkiem w lustro; pewnem jest prawie, iż żałuje, że jej w tym stroju nie widzi ekonomowa i organiścina. Odprowadzona wreszcie przez bandę chłopaków, którzy myślą, że to „sztuki", siada szczęśliwie do wagonu i jedzie.

Jedzie bez żadnej niepewności, bez żadnego strachu. Dygasiński, wybierający się w tęż stronę z listami polecającymi i w charakterze dziennikarza, nie miał, jak się okazuje z listów jego, tej wybornej równowagi umysłu, w jakiej utrzymuje Marjannę ów czerwony motyl. Okazuje się on skutecznym wszakże pod jednym tylko względem: agent domu handlowego istotnie czeka na Marjannę, poznaje ją po tym nieomylnym znaku, który wygląda zdala jak sygnał pożarny, i zabiera ją pod swoją opiekę. Ale trzeba nieszczęścia, że okręt tylko co odpłynął i że dwa tygodnie czekać trzeba na wyruszenie drugiego.

Kiedyśmy otrzymali tę wieść niepomyślną, ogarnął nas żywy niepokój. Co ona tam robić będzie w Hamburgu przez te dwa tygodnie, kiedy nie umie nawet Boga zawezwać w żadnym obcym języku? Oszuka kto, ograbi, a już że się niewygody nacierpi, to pewna. Ale odpowiedź przychodzi jak najbardziej uspakajająca. Marjanna zupełnie się obcem miastem nie czuje zakłopotaną; co jej potrzeba, to pokaże na migi, a kiedy kto jej zrozumieć nie chce czy nie może, natychmiast palcem stuka w swojego motyla, którego ciągle na piersiach nosi.

— W porcie, — pisze agent — wszyscy już ją znają. Są tacy, którzy usługują jej nawet bardzo pilnie, myśląc, że ten wielki, czerwony motyl, to znak jakiegoś stowarzyszenia, na które się ona powołuje z całą powagą. Nareszcie odbieramy wiadomość, że nasza Marjanna szczęśliwie morze przepłynęła i jest w Rio.

Zmęczona była, przybladła, mitynki jej się zdarły, kapelusz wykrzywił, gdyż dla odznaczenia się od gawiedzi nie zdejmowaał go prawie; chustka derowa zeskorupiała od słonych wyziewów morza. ale strzępy czerwonego motyla jeszcze się na niej trzymały.

Pensylwańczyk był zachwycony. Takiej tęgiej, przysadkowatej baby, jak żyw nie widział jeszcze.

— Marjanna przyjechała! pisał do Dąbrówki. — Nader silnie tłusta i dobra!

Istotnie Marjanna była wyborną sługą; prała zwłaszcza znakomicie i tylko zbyt wiele zużywała farbki. Instynkty jej kolorystyczne były niepohamowane w tym względzie.

Nigdy też nie można było przewidzieć, czy jej „lazurku", jak nazywała, zbraknie, czy nie braknie.

Najczęściej wszakże brakło. Wycierała wtedy ręce w fartuch i nie pomyślawszy nawet o tem, że słowa po portugalsku nie umie, po lazurek biegła.

Po chwili wracała zdyszana.

— Gdzie to Marjanna była? — pyta pani.

— A toże po lazurek latała!

— No i cóż?

— A nic! kupiła!

— Jakże? przecież Marjanna nie umie się rozmówić?...

— I... co to nie umie! Idę do kramu, powiadam coby mi lazurka dali. Powytrzeszczali na mnie oczy i nic. Tak ja jeszcze głośniej. A oni do siebie: czego ta głupia baba od nas chce, kiedy my jej nie rozumiemy?

— Jakże Marjanna mogła wiedzieć, co oni mówią?

— Albo to co wielkiego? Takiemu ta barabaszkowi po oczach dość spojrzeć, to się i wie co gada.

— No i cóż się stało?

— A nic! Co ja tu, myślę sobie, będę stała i medytowała, a tam mi woda stygnie. Obejrzę się, spojrzę, leży papier niebieski od cukru. Łap ja za on papier, rękaw od koszuli wyciągam, jedno do drugiego przykładam i mówię: tego do tego!

— No i zrozumieli? — Co nie mieli zrozumieć! Przecieżem im wyraźnie po polsku mówiła!

Pewnego wszakże razu wraca Marjanna rozmarzona jakaś. Ma-

łe jej bure oczki mniejsze się jeszcze wydają niż zwykle, usta wdzięcznie zesznurowane, spojrzenie melancholiczne. Jest przytem małomówna i z partesu stąpa.

— Co to Marjannie? — pyta pani. — Czy nie chora przypadkiem?

— I... nic! — odpowiada z pozorną obojętnością cedząc słówka przez zęby. — Tyla, co mi się tam jeden oświadczył.

— Co? Kto? Jak? Gdzie?

Marjanna czuje się nieco zdziwieniem tem dotknięta.

— A gdzieżby? Jużci że na półmiperiału!

Na wsi jeszcze słyszała o półimperiałach i nazwę tę stosowała do górnych miejsc w tramwaju. Mówi to zresztą takim tonem, jakby imperiał umyślnie był zbudowany dla miłosnych gruchań.

— Jakże to było? — pyta pani mocno rozciekawiona.

— A cóż? Siadam na półimperiała, patrzę, niedługo siada przy mnie jeden czarny. Usunęłam koszyka, coby mi się o niego nie zmiarzył, i nic, siedzę. A ten mi się przygląda z jednej strony, z drugiej strony, z trzeciej strony, z czwartej strony... Tak ja do niego: I cóż ślepie wytrzeszczasz, baranie jeden, kiejby ryba w garnku? Zara mu się to spodobało, rozśmiał się i pokazuje na mój pierścionek, niby czy ja żeniata, czy nie? Tak ja rękę na płask i do ziemi, że to niby już kaput, żem wdowa. Tak i on pokazuje do ziemi i na swój pierścionek, niby, że to i on wdowiec. Westchli my sobie oba, niby k' woli żałości, a tu słońce tak piecze, że się ślina na języku gotuje. Tak niedługo ów czarny bierze mnie za rękę, na swojej kładzie, chustki dobywa i owija, a w oczy mi patrzy. Niby, coby nas ksiądz stułą powiązał. Ale ja zaraz zaczęła kręcić głową, boć to podobno pogany, choć też chrzczone; skórę a to mają taką grubaśną, że się tego chrzest święty, jak należy, nie ima, tyle co woda spłynie po tem jak po kaczce, a do tej duszy to się ta nic z tego obmycia z grzechów nie dostanie, a raz też zaczęli piszczeć, coby my z półimperjała złazili, więc mi tylko jeszcze koszyk podał i każde my w swoją drogę poszli.

Niemniej chodziła Marjanna przez resztę dnia zadumana, i nazajutrz także była jakaś nie swoje. Młoda pani myślała, że to żal mimowolny za porzuconą okazją szczęścia. Ale nie był to żal. Było to preludjum do żółtej febry.

Wybuchnęła ona u Marjanny z wielką siłą, ale jej nie zgryzła. Zdawało się zrazu, że kobiecina wieczora nie doczeka. Zdawało się wieczorem, że nie dożyje ranka.

Dożyła wszakże i otrząsnęła się z tej śmiertelnej zmory; długo tylko przyjść jakoś nie mogła do siebie.

Wyżółkła, wychuda, osłabła, ręce jej się trzęsły, zamroki na nią szły, robocie żadnej poradzić nie mogła, choć się rwała do niej. Dzielny pensylwańczyk byłby ją i taką cherlającą dla żony w domu trzymał, ale doktór zapewnił go, że Marjanna tylko w innym klimacie wyzdrowieć może zupełnie.

Znowu więc nie było rady: Marjanna wracała z za morza. Wyszukała gdzieś w głębi kufra resztki czerwonego motyla, przyszpiliła go sobie do chustki i ufna w ten talizman, z mężnem sercem na okręt siadła. Od pierwszej jej podróży upłynęło coś osiem miesięcy.

Zima była; wczesny zmierzch zapadał w pokoju, kiedy nagle stanęła przed nami Marjanna.

Wykrzyknęliśmy ze zdziwienia i współczucia: twarz jej była zmieniona, małe oczki głęboko zapadły, krępa przysadkowata postać pochyliła się nieco.

— Marjanna? Co? Jak tam? Z takiej drogi! Po takiej chorobie! Z takiego dalekiego kraju!

Myśleliśmy, że nas zasypie skargami na klimat, na ludzi, na żółtą febrę, na podróż.

Ale nie. Zbliżyła się tylko nieco i kiwając głową w swoim aksamitnym kapeluszu, który jej na kark zjeżdżał, a do którego przybyło zielone papuzie skrzydło:

— I!... — rzekła wzgardliwie — cóż tak za kraj taki! Takiego ta kraju, proszę państwa — dodała tajemniczo — i liczyć co nie ma! Jakby nie był! Życia tak ni jakiego! Twarożku nie uświadczysz, kaszki krakowskiej nie ujrzysz, śmietany nie uwidzisz!... Jakże tam, proszę ja państwa, dobrze ma być, kiedy koło nabiału chodzić nie umieją? Zrobili ta teraz rewolucyą, ale gdzie, to ta poradzi, kiej naród strasznie głupi. Prowadzi, oto, taki czarny krowę i dzwoni. Kto mleka chce, wylatuje z garnkiem, doi co mu potrza, i po kramie.

— No, to dobrze właśnie! Mleko świeże i nie farbowane.

— Ale! Gdzie ta, proszę państwa, dobrze! Tam krowy takie pouczone, że to odrazu mleko z wodą dają! Cóż ta już na to choć rewolucyja poradzi!

— I co? I co dalej?

— Phi!... Ja ta tej piękności nie widziała! Juścić mają tam precz i lasy, i Wisłę mają, ale że woda w niej, to się tam inaczej nazywa. Gdzie! człowiek takich imion i nie pamięta nawet. Okrutnia głupi naród! Wszystko het poprzekręcane, na nic tak nie wołają jak należy, tylko na każdą rzecz ta sobie powymyślali jakoweś przezwiska!

— I jakże się Marjannie z niemi rozmawiało?

— A cóż to, proszę państwa! Czy ja to dziecko, czy co? Nie dał mi Pan Bóg mowy, jak należy?

— I nie bała się Marjanna tamtych ludzi... murzynów?

— Niby tych czornych? A czego? Takiego ta kopciucha będę się ta bała! Leciał ta raz jeden za mną, na cegielniach pod lasem, obejrzę się, a ten fuzyą trzyma i krzyczy. Myślał, że na głupią trafił.

— I cóż Marjanna?

— A nic. Idę a ten precz krzyczy i leci z oną fuzyą. Jak mnie też złość weźmie, jak nie zawinę jupki. Strzelaj durniu! mówię, kiej ci pilno!

Wybuchnęliśmy na to szalonym śmiechem.

— I co? I co dalej?

— A cóż? Zlękł się i poszedł, jak ten pies po mydle.

— Ale choroba! Taka ciężka choroba! — odezwał się ktoś z ubolewaniem.

— I... Cóż tam choroba! A to, proszę ja państwa — dodała tajemniczo — jeszcze jakelm sobie trzy lata temu karty dała kłaść, to tam choroba już stała! Nic, tylko się trefle kładły... Nic, tylko precz trefle! To już ta sądzone było!

— A pani? A pan?

— Pani zdrowa, Bogu dzięki! Ale pan, co gadali u nas, że czarny je, to nieprawda. Piękny pan, ze wszystkiem biały! Tylko powiadają, co jak się dziecko urodzi, to lebo jarzębiate, lebo pasiate!

Takie są „wrażenia z Brazylii" Marjanny.

BOLESŁAW PRUS.

KATARYNKA

Na ulicy Miodowej, codzień około południa, można było spotkać jegomościa w pewnym wieku, który chodził z placu Krasińskich ku ulicy Senatorskiej. Latem nosił on wykwintne, ciemno-granatowe palto, papielate spodnie od pierwszorzędnego krawca, buty połyskujące, jak zwierciadła — i — nieco wyszarzany cylinder.

Jegomość miał twarz rumianą, szpakowate faworyty i siwe, łagodne oczy. Chodził pochylony, trzymając ręce w kieszeniach. W dzień pogodny nosił pod pachą laskę; w pochmurny — dźwigał jedwabny parasol angielski.

Był zawsze głęboko zamyślony i posuwał się zwolna. Około Kapucynów dotykał pobożnie ręką kapelusza i przechodził na drugą stronę ulicy, ażeby zobaczyć u Pika [1]), jak stoi barometr i termometr? Potem znowu zawracał na prawy chodnik, zatrzymywał się przed wystawą Mieczkowskiego [2]), oglądał fotografje Modrzejewskiej [3]) — i szedł dalej.

W drodze ustępował każdemu, a potrącony, uśmiechał się życzliwie.

Jeżeli kiedy spostrzegał ładną kobietę, zakładał binokle, aby przypatrzeć się jej. Ale, że zrobił to flegmatycznie, więc zwykle spotykał go zawód.

Ten jegomość był to — pan Tomasz.

Pan Tomasz trzydzieści lat chodził ulicą Miodową, i nieraz myślał, że się na niej wiele rzeczy zmieniło. To samo ulica Miodowa pomyślećby mogła o nim.

Gdy był jeszcze obrońcą [4]), biegał tak prędko, że nie uciekłaby przed nim żadna szwaczka, wracająca z magazynu do domu. Był wesoły, rozmowny, trzymał się prosto, miał czuprynę i nosił wąsy, zakręcone ostro dogóry. Już wówczas sztuki piękne robiły na nim wrażenie, ale czasu im nie poświęcał, bo szalał — za kobietami. Co-

---

1) Pik — właściciel znanego w Warszawie sklepu z przyrządami optycznemi; 2) Mieczkowski — fotograf; 3) Modrzejewska — słynna artystka dramatyczna; 4) Obrońca — ten, co bronił spraw w dawnych sądach pokoju Królestwa Polskiego.

prawda, miał do nich szczęście i nieustannie był swatany. Ale cóż z tego, kiedy pan Tomasz nie mógł nigdy znaleźć ani jednej chwili na oświadczyny, będąc zajęty, jeżeli nie praktyką, to — schadzkami. Od Frani szedł do sądu, z sądu biegł do Zosi, którą nad wieczorem opuszczał, ażeby z Józią i Filką zjeść kolację.

Gdy został mecenasem [1]), czoło, skutkiem natężonej pracy umysłowej, urosło mu aż do ciemienia, a na wąsach pokazało się kilka srebrnych włosów. Pan Tomasz pozbył się już wówczas młodzieńczej gorączki, miał majątek i ustaloną opinię znawcy sztuk pięknych. A że kobiety wciąż kochał, więc począł myśleć o małżeństwie. Najął nawet mieszkanie, z sześciu pokojów złożone, urządził w niem na własny koszt posadzki, sprawił obicia, piękne meble — i szukał żony.

Ale człowiekowi dojrzałemu trudno zrobić wybór. Ta była za młoda, a tamtą uwielbiał już zbyt długo. Trzecia miała wdzięki i wiek właściwy, ale nieodpowiedni temperament, a czwarta posiadała wdzięki, wiek i temperament należyty, ale... nie czekając na oświadczyny mecenasa, wyszła za doktora...

Pan Tomasz jednak nie martwił się, ponieważ panien nie brakło. Ekwipował się [2]) powoli, coraz usilniej dbając o to, ażeby każdy szczegół jego mieszkania posiadał wartość artystyczną. Zmieniał meble, przestawiał zwierciadła, kupował obrazy.

Nareszcie porządki jego stały się sławne. Sam nie wiedząc kiedy, stworzył u siebie galerię sztuk pięknych, którą coraz liczniej odwiedzali ciekawi. Że zaś był gościnny, przyjęcia robił świetne i utrzymywał stosunki z muzykami, więc nieznacznie zorganizowały się u niego wieczory koncertowe, które nawet damy zaszczycały swoją obecnością.

Pan Tomasz był wszystkim rad, a widząc w zwierciadłach, że czoło przerosło mu już ciemię i sięga wtył do białego jak śnieg kołnierzyka, coraz częściej przypominał sobie, że bądź co bądź trzeba się ożenić. Tem bardziej, że dla kobiet wciąż czuł życzliwość.

Raz, kiedy przyjmował liczniejsze, niż zwykle, towarzystwo, jedna z młodych pań, rozejrzawszy się po salonach, zawołała:

— Co za obrazy... A jakie gładkie posadzki!... Żona pana mecenasa będzie bardzo szczęśliwa.

— Jeżeli do szczęścia wystarczą jej gładkie posadzki — odezwał się na to półgłosem serdeczny przyjaciel mecenasa.

W salonie zrobiło się bardzo wesoło. Pan Tomasz także uśmiechnął się, ale od tej pory, gdy mu kto wspomniał o małżeństwie, machał niedbale ręką, mówiąc:

— I, i, i!...

W tych czasach ogolił wąsy i zapuścił faworyty. O kobietach wyrażał się zawsze z szacunkiem, a dla ich wad okazywał dużą wyrozumiałość.

Nie spodziewając się niczego od świata, bo już i praktykę porzucił, mecenas całe, spokojne uczucie swoje skierował do sztuki. Piękny obraz, dobry koncert, nowe przedstawienie teatralne, były jakby wiorstowemi słupami na drodze jego życia. Nie zapalał się, nie unosił, ale — smakował.

Na koncertach wybierał miejsca odległe od estrady [3]), ażeby słuchać muzyki, nie słysząc hałasów i nie widząc artystów. Gdy szedł do teatru, obeznawał się naprzód z utworem dramatycznym, ażeby bez gorączkowej ciekawości śledzić grę aktorów. Obrazy oglądał wówczas, gdy było najmniej widzów, i spędzał w galerii całe godziny.

---

1) Mecenas — tytuł, dawany zwykle adwokatom; 2) Ekwipować się (z franc.) urządzać się; 3) Estrada (z franc.) — wzniesienie dla artystów koncertujących.

Jeżeli podobało mu się coś, mówił:

— Wiecie państwo, że to jest wcale ładne.

Należał do tych niewielu, którzy najpierw poznają się na talencie. Ale utworów miernych nigdy nie potępiał.

— Czekajcie, może się jeszcze wyrobi! — mówił, gdy inni ganili artystę.

I tak zawsze był pobłażliwy dla niedoskonałości ludzkiej, a o występkach nie rozmawiał.

Na nieszczęście, żaden śmiertelnik nie jest wolny od jakiegoś dziwactwa, a pan Tomasz miał także swoje. Oto — nienawidził kataryniarzy i katarynek.

Gdy mecenas usłyszał na ulicy katarynkę, przyśpieszał kroku i na parę godzin tracił humor. On, człowiek spokojny — zapalał się, jak był cichy — krzyczał, a jak był łagodny — wpadał w gniew, na pierwszy odgłos katarynkowych dźwięków.

Z tej swojej słabości nie robił przed nikim tajemnicy, nawet tłumaczył się:

— Muzyka — mówił wzburzony — stanowi najsubtelniejsze [1]) ciało ducha, w katarynce zaś duch ten przeradza się w funkcję [2]) machiny i narzędzie rozboju. Bo kataryniarze są poprostu rabusie! Zresztą — dodawał — katarynka rozdrażnia mnie, a ja mam tylko jedno życie, którego mi nie wypada trwonić na słuchanie obrzydliwej muzyki.

Ktoś złośliwy, wiedząc o wstręcie mecenasa do grających machin, wymyślił niesmaczny żart — i... wysłał mu pod okna dwu kataryniarzy. Pan Tomasz zachorował z gniewu, a następnie, odkrywszy sprawcę, wyzwał go na pojedynek.

Aż sąd honorowy trzeba było zwoływać dla zapobieżenia rozlewowi krwi, o rzecz tak małą napozór.

Dom, w którym mecenas mieszkał, przechodził kilka razy z rąk do rąk. Rozumie się, że każdy nowy właściciel uważał za obowiązek podwyższać wszystkim komorne, a najpierw panu Tomaszowi. Mecenas z rezygnacją płacił podwyżkę, ale pod tym warunkiem, wyraźnie zapisanym w umowie, że katarynki w domu grywać nie będą.

Niezależnie od kontraktowych zastrzeżeń, pan Tomasz wzywał do siebie każdego nowego stróża i przeprowadzał z nim taką mniej więcej rozmowę:

— Słuchaj-no, kochanku... A jak ci na imię?...

— Kazimierz, proszę pana.

— Słuchajże, Kazimierzu! Ile razy wrócę do domu późno, a ty otworzysz mi bramę, dostaniesz dwadzieścia groszy. Rozumiesz?...

— Rozumiem, wielmożny panie.

— A oprócz tego będziesz brał ode mnie dziesięć złotych na miesiąc, ale wiesz za co?

— Nie mogę wiedzieć, jaśnie panie — odpowiedział wzruszony stróż.

— Za to, ażebyś na podwórze nigdy nie puszczał katarynek.

— Rozumiem, jaśnie wielmożny panie.

Lokal mecenasa składał się z dwu części. — Cztery większe pokoje miały okna od ulicy, dwa mniejsze — od podwórza. Paradna połowa mieszkania przeznaczona była dla gości. W niej odbywały się rauty [3]), przyjmowani byli interesanci i stawali krewni albo znajomi mecenasa ze wsi. Sam pan Tomasz ukazywał się tu rzadko i tylko dla sprawdzenia, czy wywoskowano posadzki, czy starto kurz i nie uszkodzono mebli.

Całe zaś dni, jeśli nie przepędzał ich za domem, przesiadywał w gabinecie od podwórza. Tam czytywał książki, pisywał listy, albo

---

1) Najdelikatniejsze; 2) funkcja (z łac.) — działanie, czynność; 3) raut (z franc.) — zebranie wieczorne.

przeglądał dokumenty znajomych, którzy prosili go o radę. A gdy nie chciał forsować wzroku, siadał na fotelu naprzeciw okna i, zapaliwszy cygaro, zatapiał się w rozmyślaniach. Wiedział on, że myślenie jest ważną funkcją życiową, której nie powinien lekceważyć człowiek, dbający o zdrowie.

Z drugiej strony podwórza, wprost okien pana Tomasza, znajdował się lokal, wynajmowany osobom mniej zamożnym. Długi czas mieszkał tu stary urzędnik sądowy, który, spadłszy z etatu[1]), przeniósł się na Pragę. Po nim najął pokoiki krawiec; lecz, że ten lubił niekiedy upijać się i hałasować, więc wymówiono mu mieszkanie. Później sprowadziła się tu jakaś emerytka, wiecznie kłócąca się ze swoją sługą.

Ale od św. Jana staruszkę, już bardzo zgrzybiałą i wcale zasobną, pomimo jej kłótliwego usposobienia, wzięli na wieś krewni, a do lokalu sprowadziły się dwie panie z małą, może ośmioletnią dziewczynką.

Kobiety utrzymywały się z pracy. Jedna szyła, druga wyrabiała pończochy i kaftaniki na maszynie. Młodszą z nich i przystojniejszą dziewczynka nazywała mamą, a starszej mówiła: pani.

I u mecenasa, i u nowych lokatorów okna przez cały dzień były otwarte. Kiedy więc pan Tomasz usiadł na swoim fotelu, doskonale mógł widzieć, co się dzieje u jego sąsiadek.

Były tam sprzęty ubogie. Na stołach i krzesłach, na kanapie i na komodzie leżały tkaniny, przeznaczone do szycia, i kłębki bawełny na pończochy.

Z rana kobiety same zamiatały mieszkanie, a około południa najemnica przynosiła im niezbyt obfity obiad. Zresztą każda z nich prawie nie odstępowała od swojej turkoczącej maszyny.

Dziewczynka zwykle siedziała przy oknie. — Było to dziecko z ciemnemi włosami i ładną twarzyczką, ale blade i jakieś nieruchawe. Czasami dziewczynka zapomocą dwu drutów wiązała pasek z bawełnianych nici. Niekiedy bawiła się lalką, którą ubierała i rozbierała powoli, jakby z trudnością. Czasami nic robiła nic, tylko, siedząc w oknie, przysłuchiwała się czemuś.

Pan Tomasz nie widział nigdy, ażeby dziecię to śpiewało lub biegało po pokoju, nie widział nawet uśmiechu na bledziutkich ustach i nieruchomej twarzy.

— Dziwne dziecko! — mówił do siebie mecenas i począł przypatrywać się jej uważniej.

Spostrzegł raz (było to w niedzielę), że matka dała jej mały bukiecik. Dziewczynka ożywiła się nieco. Rozkładała i układała kwiaty, całowała je. Wkońcu związała napowrót bukiecik, włożyła go w szklankę wody i, usiadłszy w swojem oknie, rzekła:

— Prawda, mamo, że tu jest smutno?

Mecenas zgorszył się. Jak mogło być smutno w domu, w którym on od tylu lat miał dobry humor!

Jednego dnia mecenas znalazł się w swoim gabinecie około czwartej. W tej godzinie słońce stało naprzeciw mieszkania jego sąsiadek, a świeciło i dogrzewało bardzo mocno. Pan Tomasz spojrzał na drugą stronę podwórza i widać zobaczył coś niezwykłego, gdyż z pośpiechem założył na nos binokle.

Oto, co spostrzegł:

Mizerna dziewczynka, oparłszy głowę na ręku, położyła się prawie nawznak w swojem oknie — i — szeroko otwartemi oczyma patrzała prosto w słońce. Na jej twarzyczce, zwykle tak nieruchomej, grały teraz jakieś uczucia: niby radość, a niby żal...

— Ona nie widzi! — szepnął mecenas, opuszczając binokle.

---

1) etat (franc.) — tu: stała płaca urzędnicza; spaść z etatu — być usuniętym ze służby z powodu zniesienia posady.

W tej chwili doświadczył kłucia w oczach na samą myśl, że ktoś może wpatrywać się w słońce, które ziało żywym ogniem.

Istotnie, dziewczynka była niewidomą od dwu lat. W szóstym roku życia zachorowała na jakąś gorączkę; przez kilka tygodni była nieprzytomna, a następnie tak opadła z sił, że leżała, jak martwa, nie poruszając się i nic nie mówiąc.

Pojono ją winem i bulionami, więc stopniowo przychodziła do siebie. Ale pierwszego dnia, kiedy ją posadzono na poduszce, zapytała matki:

— Mamo, czy to jest noc?...

— Nie, moje dziecko... A dlaczego ty tak mówisz?

Ale dziewczynka nie odpowiedziała; spać jej się chciało. Tylko nazajutrz, gdy w południe przyszedł lekarz, spytała znowu:

— Czy to jeszcze jest noc?

Wtedy zrozumiano, że dziewczynka nie widzi. Lekarz zbadał jej oczy i zaopiniował, że trzeba czekać.

Ale chora, im bardziej odzyskiwała siły, tem mocniej niepokoiła się swojem kalectwem...

— Mamo, dlaczego ja mamy nie widzę?

— Bo tobie oczki zasłoniło. Ale to przejdzie.

— Kiedy przejdzie?

— Niezadługo.

— Może jutro, proszę mamy?

— Za kilka dni, moja dziecino.

— A jak przejdzie, to niech mi mama zaraz powie. Bo mi jest bardzo smutno!...

Mijały dni i tygodnie w ciągłem oczekiwaniu. Dziewczynka poczęła już wstawać z łóżeczka. Nauczyła się chodzić po pokoju omackiem, sama się ubierała i rozbierała, powoli i ostrożnie.

Ale wzrok nie wracał.

Jednego razu mówiła:

— Prawda, mamo, że ja mam niebieską sukienkę?...

— Nie, dziecko, masz popielatą.

— Mama ją widzi?

— Widzę, moje kochanie.

— Tak, jak i w dzień?

— Tak.

— Ja także będę widziała wszystko za kilka dni?... Nie, może za miesiąc...

Ale ponieważ matka nie odpowiedziała jej nic, więc mówiła dalej:

— Prawda, mamo, że na dworze ciągle jest dzień?... A w ogrodzie są drzewa, tak jak dawniej?... Czy do nas przychodzi ten biały kotek z czarnemi łapami?... Prawda, mamo, że ja widziałam siebie w lustrze?... Niema tu lustra?...

Matka podaje jej lusterko.

— Trzeba patrzeć tutaj, o tu, gdzie jest gładkie — mówiła dziewczynka, przykładając lustro do twarzy. — Nic nie widzę! — rzekła. — Czy i mama nie widzi mnie w lusterku?

— Widzę cię, moja ptaszyno.

— Jakim sposobem?... — zawołała dziewczynka żałośnie. — Przecie, jeżeli ja nie widzę siebie, to już w lustrze nie powinno być nic.... A tamta, co jest w lustrze, czy ona mnie widzi, czy nie widzi?...

Ale matka rozpłakała się i wybiegła z pokoju.

Najmilszem zajęciem kaleki było dotykać rękoma drobnych przedmiotów i poznawać je.

Jednego dnia przyniosła jej matka lalkę porcelanową, ładnie ubraną, za rubla. Dziewczynka nie wypuszczała jej z rąk, dotykała jej noska, ust, oczu, pieściła się nią.

Poszła spać bardzo późno, wciąż myśląc o swej lalce, którą ułożyła w pudełku, wysłanem watą.

W nocy zbudził matkę szmer i szept. Zerwała się z pościeli, zapaliła świecę i zobaczyła w kąciku swoją córkę, już ubraną i bawiącą się lalką.

— Co ty robisz, dziecino? — zawołała. — Dlaczego nie śpisz?...

— Bo już przecie jest dzień, proszę mamy — odparła kaleka.

Dla niej dzień i noc zlały się w jedno i trwały zawsze...

Stopniowo pamięć wzrokowych wrażeń poczęła zacierać się w dziewczynce. Czerwona wiśnia stała się dla niej wiśnią gładką, okrągłą i miękką, błyszczący pieniądz był twardym i dźwięcznym krążkiem, na którym znajdowały się jakieś znaki w płaskorzeźbie. Wiedziała, że pokój jest większy od niej, dom większy od pokoju, ulica od domu. Ale wszystko to jakoś skróciło się w jej wyobraźni.

Uwaga jej skierowała się na zmysł dotyku, powonienia i słuchu. Jej twarz i ręce nabrały takiej wrażliwości, że zbliżywszy się do ściany, czuła o kilka cali lekki chłód. Zjawiska odległe oddziaływały na nią tylko przez słuch. Przysłuchiwała się więc po całych dniach.

Poznawała posuwisty chód stróża, który mówił piskliwym głosem i zamiatał podwórko. Wiedziała, kiedy jedzie z drzewem chłopski wózek drabiniasty, kiedy — doróżka, a kiedy — kary [1]), wywożące śmiecie.

Najmniejszy szelest, zapach, oziębienie się, albo rozgrzanie powietrza nie uszło jej uwagi. — Z niepojętą bystrością pochwytywała drobne te zjawiska i wysnuwała z nich wnioski.

Raz matka zawołała służącej.

— Niema Janowej — rzekła kaleka, siedząc, jak zwykle, w kąciku. — Poszła po wodę.

— A skąd wiesz o tem? — zapytała zdziwiona matka.

— Skąd?... Przecież wiem, że brała konewkę z kuchni, potem poszła na drugie podwórze i napompowała wody. A teraz rozmawia ze stróżem.

Istotnie z za parkanu dolatywał szmer rozmowy dwu osób, ale tak niewyraźny, że tylko z wysiłkiem można go było usłyszeć.

Lecz nawet rozszerzona sfera zmysłów niższych nie mogła kalece zastąpić wzroku. Dziewczynka uczuła brak wrażeń i zaczęła tęsknić.

Pozwolono jej chodzić po całym domu, i to ją nieco uspokajało. Wydeptała każdy kamień na podwórzu, dotknęła każdej rynny i beczki. Ale największą przyjemność robiły jej — podróże do dwu całkiem odmiennych światów: do piwnicy i na strych.

W piwnicy powietrze było chłodne, ściany wilgotne. Przygłuszony turkot uliczny dolatywał zgóry; inne odgłosy nikły. To była noc dla ociemniałej.

Na strychu zaś, szczególnie w okienku, działo się całkiem inaczej. Tam hałasu było więcej, niż w pokoju. Kaleka słyszała turkot wozów z kilku ulic; tu skupiały się krzyki z całego domu. Twarz jej owiewał ciepły wiatr. Słyszała świergot ptaków, szczekanie psów i szelest drzew w sąsiednim ogrodzie. Tu był dla niej dzień...

Niedość na tem. Na strychu częściej, niż w pokoju, świeciło słońce, a gdy dziewczynka skierowała na nie pogasłe oczy, zdawało jej się, że coś widzi. W wyobraźni budziły się cienie kształtów i barw, ale takie niewyraźne i pierzchliwe, że nic przypomnieć sobie nie mogła...

W tej właśnie epoce matka połączyła się ze swoją przyjaciółką i przeniosła się do domu, w którym mieszkał pan Tomasz. Obie kobiety cieszyły się z nowego lokalu, ale dla niewidomej zmiana miejsca była prawdziwem nieszczęściem.

Dziewczynka musiała siedzieć w pokoju. Na strych i do piwnicy

---

1) Kary, kar, bez l. poj. (starop. kara) — wóz na dwóch silnych kołach, zwykle ze skrzynią na wierzchu, do wywożenia śmieci, gnoju.

nie wolno było chodzić. Nie słyszała ptaków, ani drzew, a na podwórzu panowała straszna cisza. Nigdy tu nie wstępowali handlarze starzyzny, ani druciarze, ani śmieciarki. Nie puszczano bab, śpiewających pieśni pobożne, ani dziada, który grał na klarnecie [1], ani kataryniarzy.

Jedyną jej przyjemnością było wpatrywanie się w słońce, które przecież nie zawsze jednakowo świeciło i bardzo prędko kryło się za domami.

Dziewczynka znowu poczęła tęsknić. Zmizerniała w ciągu kilku dni, a na jej twarzy ukazał się wyraz zniechęcenia i martwości, który tak dziwił pana Tomasza.

Nie mogąc widzieć, kaleka chciała przynajmniej słuchać wciąż najrozmaitszych odgłosów. A w domu było cicho...

— Biedne dziecko ! — szeptał nieraz pan Tomasz, przypatrując się smutnemu maleństwu.

— Gdybym mógł dla niej co zrobić? — myślał, widząc, że dziecko jest coraz mizerniejsze i codzień niknie.

Zdarzyło się w tych czasach, że jeden z przyjaciół mecenasa miał proces i, jak zwykle, oddał mu do przejrzenia papiery, z prośbą o radę. Wprawdzie pan Tomasz nie stawał już w sądach, ale, jako doświadczony praktyk, umiał wskazać najwłaściwszy kierunek akcji [2] i wybranemu przez siebie adwokatowi udzielał pożytecznych objaśnień.

Sprawa obecna była zawikłana. Pan Tomasz, im więcej wczytywał się w papiery, tem bardziej zapalał się. W emerycie ocknął się adwokat. Nie wychodził już z mieszkania, nie sprawdzał, czy starto kurz w salonach, tylko, zamknięty w swoim gabinecie, czytał dokumenty i notował.

Wieczorem stary lokaj mecenasa przyszedł z codziennym raportem. Doniósł, że pani doktorowa wyjechała z dziećmi na letnie mieszkanie, że zepsuł się wodociąg, że odźwierny, Kazimierz ,zrobił awanturę ze stójkowym i poszedł na tydzień — do kozy. Zapytał wkońcu czy pan mecenas nie zechce widzieć się z nowo przyjętym stróżem...

Ale mecenas, pochylony nad papierami, palił cygaro, puszczał kółka dymu, a na wiernego sługę nawet nie spojrzał.

Na drugi dzień pan Tomasz jeszcze siedział nad aktami; około drugiej zjadł obiad i znowu siedział. Jego rumiana twarz i szpakowate faworyty, na szafirowem tle pokojowego obicia, przypominały „studja z natury". Matka ociemniałej i jej wspólniczka, robiąca pończochy na maszynie, podziwiały mecenasa i mówiły, że wygląda na czerstwego wdowca, który ma zwyczaj, od rana do wieczora, drzemać nad biurkiem.

Tymczasem mecenas, choć przymykał oczy, nie drzemał wcale, tylko rozmyślał nad sprawą.

Obywatel X w roku 1872 zapisał swemu siostrzeńcowi folwark, a roku 1875 — synowcowi kamienicę. Synowiec twierdził, że obywatel X był warjatem w roku 1872, a siostrzeniec dowodził, że X oszalał dopiero w roku 1875. Zaś mąż rodzonej siostry nieboszczyka składał nie ulegające wątpliwości świadectwa, że X i w roku 1872, i w 1875 działał jak obłąkany, a cały swój majątek jeszcze w roku 1869, czyli w epoce zupełnej świadomości, zapisał siostrze.

Pana Tomasza proszono o zbadanie, kiedy naprawdę X był warjatem, a następnie o pogodzenie trzech powaśnionych stron, z których żadna nie chciała słuchać o ustępstwach.

Gdy tak mecenas nurzał się w powikłanych kombinacjach, zdarzył się dziwny, trudny do pojęcia wypadek.

Na podwórzu, pod samem oknem pana Tomasza, odezwała się — katarynka!...

——————

1) Klarnet (z włosk.) — drewniany, dęty instrument muzyczny; 2) akcja (z łać.) — tu: postępowanie sądowe.

Gdyby zmarły X wstał z grobu, odzyskał przytomność i wszedł do gabinetu, aby pomóc mecenasowi w rozwiązywaniu trudnych zagadnień, z pewnością pan Tomasz nie doznałby takiego uczucia, jak teraz, gdy usłyszał katarynkę!...

I żeby to przynajmniej była katarynka włoska, z przyjemnemi tonami fletowemi, dobrze zbudowana, grająca ładne kawałki! Gdzie tam! jakby na większą szykanę [1]), katarynka była popsuta, grała fałszywie ordynaryjne [2]) walce i polki, a tak głośno, że szyby drżały. Nadomiar złego, trąba, niekiedy się w niej odzywająca, ryczała, jak wściekłe zwierzę.

Wrażenie było potężne. Mecenas osłupiał. Nie wiedział, co myśleć i co począć. Chwilami gotów był przypuścić, że przy odczytywaniu pośmiertnych rozporządzeń chorego na umyśle obywatela X jemu samemu pomieszało się w głowie, i że uległ halucynacjom [3]).

Ale nie, to nie były halucynacje. To była rzeczywista katarynka, z popsutemi piszczałkami i bardzo głośną trąbą !

W sercu mecenasa, tego wyrozumiałego, tego łagodnego człowieka, zbudziły się dzikie instynkty. Uczuł żal do natury, że go nie stworzyła królem dahomejskim [4]), który ma prawo zabijać swoich poddanych, i pomyślał, z jaką rozkoszą położyłby w tej chwili katarynierza trupem !

A ponieważ u ludzi tego temperamentu, co pan Tomasz, bardzo łatwo w gniewnem uniesieniu przechodzi się od zuchwałych projektów do najstraszniejszych czynów, więc mecenas skoczył, jak tygrys, do okna i postanowił — zwymyślać kataryniarza najgorszemi wyrazami.

Już wychylił się i otworzył usta, aby krzyknąć: „Ty, próżniaku jakiś!..." — gdy wtem usłyszał dziecięcy głos.

Spojrzał naprzeciwko.

Mała, niewidoma dziewczynka tańczyła po pokoju, klaszcząc w ręce. Blada jej twarz zarumieniła się, usta śmiały się, a pomimo to z zastygłych oczu płynęły łzy jak grad.

Ona, biedactwo, w tym domu spokojnym dawno już nie doświadczyła tylu wrażeń! Jak pięknem zjawiskiem wydawały się jej fałszywe tony katarynki! Jak wspaniałym był ryk trąby, która mecenasa mało nie przyprawiła o apopleksję! [5]).

Na dobitkę kataryniarz, widząc uciechę dziecka, zaczął przytupywać wielkim obcasem w bruk i pogwizdywać, niby lokomotywa przed spotkaniem się pociągów.

— Boże! jak on ślicznie gwizdał!

Do gabinetu mecenasa wpadł wierny lokaj, ciągnąc za sobą stróża i wołając:

— Ja mówiłem temu galganowi, jaśnie panie, żeby natychmiast wygnał kataryniarza! Mówiłem, że od jaśnie pana dostanie pensję, że my mamy kontrakt... Ale ten cham! Tydzień temu przyjechał ze wsi i nie zna naszych obyczajów. No, teraz posłuchaj — krzyczał lokaj, targając za ramię oszołomionego stróża — posłuchaj, co ci sam jaśnie pan mecenas powie !

Kataryniarz grał już trzecią sztuczkę, tak fałszywie i wrzaskliwie, jak dwie pierwsze.

Niewidoma dziewczynka była upojona.

Mecenas odwrócił się do stróża i rzekł ze zwykłą sobie flegmą, choć był trochę blady:

———————

1) Szykana — szyderstwo, urągowisko; 2) ordynaryjny — ordynarny — zwyczajny, pospolity,l lichy; 3) halunacynacja (z łać.) — złudzenie zmysłowe, powstające bez żadnych zewnętrznych bodźców; 4) Dahomej — obecnie kolonja francuska w półn.-zachodniej Afryce; do r. 1894 — państwo murzyńskie, którego król był władcą nieograniczonym i groźnym, okrutnym despotą; 5) Apopleksja ,z greck., staropol. na gła śmierć) — porażenie władzy ruchu i przytomności wskutek wylewu krwi w mózgu.

— Słuchajno, kochanku... A jak ci na imię?

— Paweł, jaśnie panie.

— Otóż, mój Pawle, będę ci płacił dziesięć złotych na miesiąc, ale wiesz, za co?

— Za to, ażebyś na podwórze nigdy nie puszczał katarynki! — wtrącił śpiesznie lokaj.

— Nie! — rzekł pan Tomasz. — Za to, ażebyś przez jakiś czas codzień puszczał katarynki. Rozumiesz?

— Co pan mówi!?... — zawołał służący, którego nagle rozzuchwalił ten niepojęty rozkaz.

— Ażeby, dopóki się z nim nie rozmówię, puszczał codzień katarynki na podwórze — powtórzył mecenas, wsadzając ręce w kieszenie.

— Nie rozumiem pana!... — odezwał się służący z oznakami obrażającego zdziwienia.

— Głupiś, mój kochany! — rzekł mu dobrotliwie pan Tomasz.

— No, idźcie do roboty — dodał.

Lokaj i stróż wyszli, a mecenas spostrzegł, że jego wierny sługa coś towarzyszowi swemu szepcze do ucha i pokazuje palcem na czoło...

Pan Tomasz uśmiechnął się i, jakby dla stwierdzenia ponurych domysłów famulusa [1]), wyrzucił katarynce dziesiątkę.

Następnie wziął kalendarz, wyszukał w nim listę lekarzy i zapisał na kartce adresy kilku okulistów. A że kataryniarz odwrócił się teraz do jego okna i za jego dziesiątkę począł przytupywać i wygwizdywać jeszcze głośniej, co już okrutnie drażniło mecenasa, więc, zabrawszy kartkę z adresami doktorów, wyszedł, mrucząc:

— Biedne dziecko!... Powinienem był zająć się niem oddawna...

---

1) Famulus (z łac.) — służący.

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER

KSIĄDZ PIOTR

(NOWELA)

Wypiwszy kawę, ksiądz Piotr zapalał piankową, piękną fajkę, na długim, wiśniowym cybuchu, z dużym, kosztownym bursztynem, dar nieboszczyka kolatora, pana marszałka, i, pociągnąwszy kilkanaście razy, pochylał się w tył w fotelu i zaczynał drzemać, przy czym zwykle coś mu się śnić musiało, pomrukiwał bowiem: „Ho! Ho!" i poruszał wskazującym palcem prawej ręki, co czynił zawsze, ile razy opowiadał z zajęciem, lub dawne czasy wspominał.

Miało mu się też co marzyć! Dzieciństwo naprawdę „sielskie i anielskie" w Załanach, służba pod księciem Konstantym, kilka lat na emigracji, długa wędrówka, wreszcie kilkadziesiąt lat służby bożej, twardej i pełnionej po żołniersku, bez folgi, według rozkazu...

Księdzem nie został ten niegdyś świetny rotmistrz ułański z powołania, przyznawał się do tego otwarcie. „Ja — mówił nieraz — urodziłem się, kochanku, na księdza, jak moja dziewka Wikta, co korzec ziemniaków na plecy bierze, na baletnicę. Byłem młody, przystojny, ho! ho! nie biedny, a do tego żywy, lekkomyślny, pusty, ot — szlachcic polski i do tego kawalerzysta. Alem poznał kochanku, w czymeśmy zawinili. Ja, kiedy mi mój luzak, Sobek, chłopak z Załan, szabli nie dopolerował, albo butów na czas nie przyniósł, buch go w pysk! Mój ojciec, mój dziad, mój pradziad, wszyscy Załańscy za takie same i podobne rzeczy swoich Sobków buch w pysk! Dlatego mi mój chłopak przed pierwszą bitwą uciekł, dlatego w czterdziestym szóstym mego brata stryjecznego, Stanisława, jego własny lokaj za nogę z konia ściągnął, a potem go chłopi tak zsiekli, że go poznać nie było można. Ja poszedłem bić ekspiację za siebie i za innych Załańskich, poszedłem, kochanku, służyć tym, względem których czułem się winny... A czy ty myślisz, kochanku, że mnie było łatwo rzucić wszystko, cały świat, który mi się śmiał, sutannę oblec, na wieś iść, dzieci chłopskie chrzcić i szczerbate baby spowiadać? Nieraz myślałem, że nie wytrzymam, kochanku. Jeszcze, jak węgierska wojna wybuchła, o małom sutanny na kółku nie zawiesił i za Karpaty nie ruszył. Ale powiedziałem sobie: zameldowałeś się Bogu do służby, służ! A służba Boża twarda rzecz i On nie żartuje. Kiedy dobry, to dobry, ale jak się rozsierdzi, wszyscy w kąt, nawet Michał Archanioł, choć to wielki wojownik i diabłu skórę wyprał, stronami tylko szablą pobrzękuje, a przed Panem Bogiem tak ją cicho w gar-

ści niesie, jakby po cesarskich pokojach stąpał. A cóż dopiero marny człowiek, choćby nawet kanonik. Ho! Ho! Ale potem jużbym za skarby świata mojej sutanny nie zwlókł i mojej parafii nie opuścił. Com z początku, kochanku, jako pokutę, ekspiację podjął, żebym ja, pan z panów i oficer kawaleryjski, między proste chłopstwo schodził, życie mu moje, moje dnie i noce w ofierze niósł, tom się w tym potem rozmiłował... A potem rozmiłowałem się i w rzeczach Boskich, i zacząłem te dusze boskimi robić. I myślałem sobie znowu: co ja tu jedną kłonicką Bogu przysposobię, to On tam, sędzia sprawiedliwy i miłosierny, Załańskim choć po roku jednym pokuty czyśćcowej odpuści. A potem przez miłość Boga zacząłem i ludzkość szeroką miłować i tę miłość w kłonickie dusze szczepić... I powiedz mi, może być coś piękniejszego na ziemi, jak dusze Bogu, Ojczyźnie i ludzkości skarbić? A te kłonickie dusze są one gliniaste i kamieniaste, ale w nich i czarnoziem jest, one nie są złe, one są dobre. Tylko one są bardzo trudne, i trzeba je, kochanku, bardzo kochać, i bardzo im pobłażać, i ludzkość im świadczyć. Żebym ja był mojego Sobka mniej bił w pysk, a więcej do niego mówił, nie byłby mnie on przed pierwszą batalią powiedział: „A mnie wciórności do tego!" — i uciekł, gdzie pieprz rośnie. I widzisz, mogę śmiało, kochanku, powiedzieć, że do czegom się zameldował, tom spełnił, i byłem, śmiało mogę powiedzieć, dobrym księdzem, dobrym duszpasterzem. A żeby mi kto prorokował był tak lat temu sześćdziesiąt, kiedym ja dla panny Jadwigi Karśnickiej siwą klacz turecką ujeżdżał, a potem ją na tej samej klaczy wykradłem, Panie odpuść, dla mego przyjaciela, Hilarka Roszczewskiego, że mnie w sutannie do trumny będą kładli, kiedy ja myślałem o jeneralskich szlifach, na dolinę Jozafata iść... Ho! Ho! Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi... Ho! Ho! Nie ma tam gdzie pana Dzięgielewskiego?...

Bez pana Dzięgielewskiego nie mógł się staruszek kilku godzin obejść. Ów zaś pan Dzięgielewski, z drobnej, zagonowej, żmudzkiej czy litewskiej szlachty, przywędrował jeszcze z ojcem nieboszczykiem, Kacprem Dzięgielewskim herbu Ozoria z Litwy i znalazł przytułek w kłonickim dworze. Zrazu pomagał dworskiemu pisarzowi w rachunkach, ale że do cyfr głowę miał nieosobliwą, a na flecie pięknie grywał, poświęcił się kunsztowi organistowskiemu i taką z miechów czułość wydobywać umiał, że się pannie Krystynie Kolasikiewiczównie, pokojowej pani marszałkowej, mdło zrobiło podczas sumy i ostatecznie została panią organiścina, a razem ze stanu mieszczańskiego do godności szlacheckiej podniesioną.

Z panem Dzięgielewskim toczył ksiądz Piotr dysputy o wszystkim, zacząwszy od owsa i polityki, kończąc na astronomii i motylicy. Droczył się z nim i trafiał w jego szaraczkową godność szlachecką, przekręcając mu Ozorię na Cykorię, co się najmniej od lat trzydziestu zawsze z jednakowym skutkiem powtarzało.

Pan Dzięgielewski nosił na codzień czarny halsztuk na szyi, długi tabaczkowy surdut, kamizelkę w cętki i pasiaste spodnie, na niedziele zaś i święta, imieniny papieża i księdza kanonika halsztuk z ciemnego granatu, nowy surdut tabaczkowy, kamizelkę sieraczkową i nowe pasiaste spodnie. Miał pan Dzięgielewski czapkę z daszkiem, chustki do nosa czerwone z brązowymi kółkami, rogową tabakierkę, trzcinę z posrebrzaną gałką i mosiężną pieczątkę z herbem.

Ksiądz Piotr lubił go bardzo.

Koło plebanii było jak w arce Noego.

Oprócz zwykłych domowych zwierząt miał ksiądz Piotr mały zwierzyniec, w którym sarny, zające i osobliwsze zamorskie gęsi żyły w bezprzykładnej zgodzie. Dozór nad tą menażerią, jak i nad ogrodem, miały sobie powierzone wszelakie baby i dziady, oraz kaleki i sieroty, jakie się w okolicy dało znaleźć. Ksiądz Piotr zbierał biedactwo, przygarniał, odchowywał i wychowywał. Potrzebując dla siebie niewiele, bo go głównie piękne buty i rewerendy, do czego miał

zawsze słabość, kosztowały, a mając i z parafii i z kapitałów własnych znaczne dochody, całe legiony ubogich żywił i odziewał. „Mój sąsiad — mawiał — ksiądz Wajdzik, kiedy kościół w Nowosiółku odnawiali, bronił malarzom po rusztowaniach chodzić, bo mógł który w okno wpaść, a szyby drogo kosztują, grosz do grosza zbija, psu na omastę nie da, żeby po jego śmierci chłopi blachą kościół pokryli i nową wystawili dzwonnicę; a ja wam mówię, że ja lepiej robię. Bo Pan Bóg o blachy na kościele nie dba, tylko o to, jakie się dusze w tym kościele modlą, a czy Mu się dzwon wyżej, czy niżej lipy majda, to Mu także wszystko jedno, byleby Mu serca ludzkie ku niebu dźwigał. U mnie by się też to i owo na kościele dało naprawić; ale mnie pierwsza sieroca gęba, niż dziury w gontach kościelnych."

Lubił ksiądz Piotr w letnie popołudnie za ogrodzenie plebańskie wyjść, i na ławce pod starym cisem siadłszy, w świat patrzeć. Widział stąd zboże złociste, pełne modrych bławatków i maków czerwonych; różowe i białe zagony koniczyn, łąki zielone, przesiane mnóstwem różnobarwnych kwiatków, mieniące się pod blask słoneczny. Widział bór ciemny, jakoby pod drżącą, przeźroczą gazą złoto-szmaragdowego światła, i gdzieś daleko, mgliste, błękitniejące góry; a nieopodal widział jezioro wielkie, cichą, lekko falującą z wiatrem rozchwiej wodną, nenufarami u brzegów i szeleszczącym sitowiem zarosłą, iskrzącą się miejscami, jak blacha srebrna w słońcu, miejscami siwą, lub siwo-fioletową. Po jeziorze pływały kaczki dzikie, czerniejąc się na topieli sznurami, zawisały ponad nim czaple o skrzydłach szerokich i chmary czajek krzykliwych; a jezioro rozciągnęło się szeroko, głęboko w kraj, ciche, senne, lekko z wiatrem faliste.

Wszystko było zatopione w jakąś śrzeżogę światła, nieskończenie spokojne, rozległe, prawie bezgraniczne, jakby zasłuchane w wiatr i szum łąk, i wody, łagodnej smętności, rozkołysanych tęsknot, jakiejś polnej zadumy i dziwnych, ogromnych upojeń pełne...

Ksiądz Piotr patrzał i patrzał, i zrazu odróżniał zboże od łąk, a las od wody, ale powoli poczynał mu się ten duży i rozmaity świat zlewać, łączyć, zamieniać w jedną wspólną barwę, błękitną i prześwietlną. Zboża, kwiaty, trawy i ciche kręgi fal jeziora, i czaple na szerokich, białych skrzydłach, i stada krzykliwych czajek i obłoki przejrzyste, i niebo jasnobłękitne, wszystko to napełniało mu oczy i czyniło w nich wielką światłość, pogodną i niezmiernie słodką. Zdawało się księdzu Piotrowi, jakoby on to już nie świat sam rzeczywisty, ale duszę świata widział, raczej opar jakiś, czy mgłę, kolory ziemi niosącą, niż samą ziemię.

A potem to widzenie, więcej duchem niż oczyma, poczynało się gubić i rozwiewać w przestrzeni wyłaniających się z pamięci obrazów niegdyś widzianych. Za czym poczynały się w du[illegible] Piotra rozbłękitniać olbrzymie przewieje morskie z okrętami o białych żaglach i olbrzymie przewieje pustynne; poczynały w niej szumieć cedry Libanu i palmy oaz arabskich, poczynały w niej róść piramidy milczące i wulkany o czerwonych kiściach płomienia u szczytu; poczynały się jawić miasta wschodnie, stubarwne, i owo rzymskie z ziemi dobywane, i ludzi tłumy, i zwierzęta dziwne; tworzył się w niej jakiś łagodny, przyćmiony odległością czasu chaos wrażeń, ogarniało ją zapomnienie się, zamyślenie. I nieraz dopiero wysłany umyślnie sierota, Ignaś Znajda, budził go z zadumy, ciągnąc za sutannę.

Zajęty dużo służbą Bożą i ludzką, a zajęty bardzo ciężko, ksiądz wikary bowiem, studiujący dniami i nocami dzieła teologiczne, małą mu był wyręką, nie miał ksiądz Piotr wiele czasu myśleć o śmierci, tym bardziej, że zawsze zapowiadał, że do setki ani dnia Panu Bogu nie opuści.

Ale pewnego jesiennego wieczora, kiedy słońce zaszło, ostatnie, fioletowe plamy kładąc na ciemnym niebie, ksiądz Piotr, który

długo przedtem siedział w milczeniu na ganku od ogrodu, zdając się drzemać, zwrócił nagle głowę ku siedzącemu naprzeciw organiście i rzekł poważniejszym, niż zazwyczaj głosem:

— Panie Dzięgielewski, mnie się zdaje, że trzeba iść...

— A dokąd to, śmiem zapytać?

— Dalej, niż stąd do kancelarii parafialnej... Tam...

I pokazał ręką ku bielejącemu się opodal murowi cmentarnemu.

Dzięgielewski żachnął się:

— A co też ksiądz kanonik wygaduje? Po prawdzie żeby powiedzieć, to nawet nie przystoi... pfe! Jeszcze można w złą godzinę...

— No, zobaczysz, panie Dzięgielewski, organisto kłonicki, że mnie już trzeba iść. Już czas... Już i tę trzynastkę Panu Bogu odstąpić muszę...

— O... o... Wolałby jegomość nie wymawiać takich przykrości!

— E... już i czas. Spowiadałem się właśnie dziś rano, jakby umyślnie. I komunię przyjąłem. Gotów jestem. Po księdza wikarego też jeszcze posłać będzie można, ale przeprosić go pięknie, bo pewnie nad „Sumą teologiczną", albo „Naśladowaniem Chrystusa" będzie siedział. Takich kanonikami robić, nie mnie, starego bajdę.

Od pól szły przez ogród chłodne i zwiędłe wonie jesienne i słychać było cichy, jednostajny szum wiatru.

— Panie Dzięgielewski... — ozwał się staruszek.

— Słucham księdza kanonika dobrodzieja...

— Słuchaj waść, ale nie mnie, tylko świata! Słyszysz, jaki to szum? Wydaje mi się, że słyszę obrót całej tej wielkiej maszyny, której Bóg jest budowniczym i maszynistą wiecznym. Kręcą się na osiach planety i słońca, wszystko idzie po swoich drogach i szumi. A On, budowniczy i maszynista wieczny, słucha i raduje się. Pomyśl tylko, panie organisto kłonicki, Mateuszu Tymoteuszu Dzięgielewski, herbu Cykoria, jaki to ogromny i cudowny szum być musi! Ty myślisz, że jak wiatrak Kuby Michałowego z Zardzawicy, a to jak tysiąc, milion takich wiatraków... Ho! ho! Jak wszystkie fale Atlantyku i wszystkie wichry Sahary razem wzięte... Słuchaj tylko...

— Słucham, księże kanoniku...

— Słyszysz?

— Słyszę, jak wiatr po ogrodzie szuści.

— A tego szumu świata, tej maszyny ogromnej, nie słyszysz?

— Nie, z przeproszeniem księdza kanonika dobrodzieja.

Ksiądz Piotr pomilczał chwilę, a potem znów zaczął mówić:

— Odsuń, mości organisto, tę szybę od północy! Niech jak najwięcej zapachu z pola wejdzie! Tam, jak tam... być może, jeśli Bóg miłościwy, i światło prześliczne, i chóry anielskie, i wonie rajskie mogą być, i wszelki cud, ale przecież kłonickich pól nie będzie, nie będzie zapachu z mego parafialnego ogrodu... wieczność jest długa, ale i pięćdziesięciu lat też pies nie przeskoczy. Te młode wiązy każesz podeprzeć, a żeby grusze dobrze na zimę słomą owinęli... Ho! ho! Takiego zapachu nie będzie... Mości panie Dzięgielewski, ja byłem w Ziemi Świętej, i w Arabii, i we włoskich pomarańczarniach, a takiego zapachu, jak u mnie w Załanach dawniej, a potem tu w Kłonicach, nigdzie nie było. Panie Dzięgielewski...

— Do usług księdza kanonika...

— Czy to już miesiąc wschodzi?

— Niby...

— Jasny jest? Bo mi się źle w tamtą stronę oglądać...

— Jasny.

— To, chwała Bogu. Nie chciałbym w niepogodę umierać.

— Uuu... co też ksiądz kanonik...

— Cicho, panie Dzięgielewski, organisto, cicho... Miesiąc poświeci duszy, jasnym gościńcem pójdzie. A i dobrze, jeśli z ganku. To prawie tak, jakby z pola. U nas w rodzinie mało kto na łóżku

gasł. W polu gaśli... Dobrze, że się skończyli, bo kto wie, co by z nimi było... tak, jak z innymi. Tak, panie Dzięgielewski...

— Słucham księdza kanonika...

— Ubierzesz mnie w nową sutannę, tę na jedwabnej podszewce, pasem jedwabnym przewiążesz, szpilkę złotą z Korabiem przypiąć, buty nowe wyglansować, łańcuch kanoniczny na szyję, ordery moje wojskowe na pierś. Sygnet zostawić na palcu niech idzie ze mną... Obsypiesz mnie kwiatami,dużo macierzanki. A szablę moją złamać, bo jestem ostatni z rodu... Cóż to, ty buczysz, panie Dzięgielewski?

— Uuu... u... Bo ksiądz kanonik tylko serce mi kraje...

— Albo wiesz co, panie Dzięgielewski, szabli łamać szkoda, ale mi ją cicho, żeby ksiądz wikary nie widział, pod sutannę we fałdy włożysz. W rękach krzyż, nibym ja tylko ksiądz, ale tam, pod bokiem, szabla... Czujesz, jak z mego ogrodu pachnie, panie organisto?

— Czu... czuję kan... n... noniku dobrodzieju...

— Testament jest tam, w biurku. Wszystko w porządku... Żebyś mi tu zawsze, panie Dzięgielewski, kwiaty w doniczkach podlewał i ogrodu strzegł. Nic nie sprzedawać, nic nie wypędzać... Na wszystko fundusz jest. Na dziady i na baby, na sieroty i na kaleki, na zwierzyniec, na Marcina i Zagraja... Wszystko ma być, jak było, póki nie wymrze, albo nie wyrośnie i w świat nie pójdzie. U mnie było jedno serce dla całego świata. Bóg wszystko stworzył, wszystko miłuje i o wszystkim wie, panie Dzięgielewski...

— Co ksiądz kanonik rozkaże?

— Bułanki panu Strzemieskiemu do Topolicy posłać. Broń Boże nie sprzedawać! On im łaskawy chleb da, bo nimi ostatni Załański jeździł. Mój dziad pannie Bronisławie Strzemieskiej, będąc nieco podchmielon, srebrny imbryczek z ręki wystrzelił, a potem do nóg jej padł, i ona była moją babką. Stąd my krewniacy. Bułanki do Topolicy, siwki księdzu wikaremu na pamiątkę, bo on rad tą maścią jeździ i tych jednych się nie bał. „Strzałę" weźmie porucznik Kotowicz... to kawaleryjski koń. Może, da Bóg, jeszcze obaj, nie tej trąbki będą słuchali, co dzisiaj. Ho! Ho! Fajkę z Marią Antoinette i kałamarz brązowy z Napoleonem, także księdzu wikaremu. Z majątku mego będzie fundusz na zakład wychowawczy, a tobie, panie Dzięgielewski, przekazałem testamentem dwa buhajki, dziesięć tysięcy i jeszcze tamto i owo, a tu masz ciepłą ręką tę tabakierkę szyldkretową z rubinem, żebyś o starym księdzu pamiętał.

— Uuu... uuu... uuu... księże kanoniku dobrodzieju!...

— A nie klękaj przede mną waść, nie całuj mnie po kolanach! Fe! wstyd! wszyscyśmy równi.. A że ja mam więcej, to ci daję. Tak powinno być i koniec. A nie bucz tak, panie Dzięgielewski, bo ludzi budzisz. Narobią się dzień cały, potrzebują spać... Ja się też choć pół życia napracowałem, trza iść spać. A tak przecie dziwnie... Niby się wie, że ma się umrzeć, a tak dziwnie... Tu jutro już może człowieka nie będzie, a tu żeby choć jeden listek z lipy opadł, żeby choć jedno źdźbło trawy zawiędło... A przecież wszystko z jednego Boga wyszło, Bogiem trwa. Marność marności jest człowiek, i nic tylko marność... Rok, dwa będą pamiętali, potem zapomną... Niech tam, byle Bóg miłosierny nie zapomniał... O resztę nic!

Jak mi się żywo przypomina, jakem tu pierwszego dnia przyjazdu po alei grabowej w ogrodzie chodził... Takie to były graby, jak i dzisiaj, rozłożyste, szumiące. Lat pięćdziesiąt, pół wieku z górą... Nie chce mi się wierzyć, żeby ta pszenica tak samo rosła,... a przecież będzie... Tyle lat... Com ja tu chrzcił, com tu pochował... O, jak to jasno...

Przez liście winne, które ganek gęsto obrosły, poczęła się wmykać światłość miesięczna, cicha i srebrzysta, zawisła na liściach i patrzyła w dół. Szum wiatru, poruszając liśćmi, jakby przymykał i odchylał jej powieki. Ksiądz Piotr spoglądał przez jakiś czas w gó-

ię, potem głowa opadła mu ku piersi, a pan Dzięgielewski, któremu grube łzy spływały na wąsy, słyszał, jak staruszek szeptał:

— Nie ma co, nie ma co, trzeba iść... Teraz wieczór, jutro rano, ale trza... Jakto księżyc na mnie patrzy... Jakby mi jaką jasność zapowiadał niebieską... Ale, kto wie. Nigdym się niczego nie bał, com się to śmierci napatrzył w oczy, a przecież mi jakoś straszno... Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu... Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu... Mea culpa... mea culpa... mea maxima culpa... A i krew jest na mojej duszy...

Opuścił jeszcze niżej głowę na piersi i milczał chwilę, ale nagle podniósł ją i silnym głosem przemówił:

— Mości Dzięgielewski, jak odśpiewają „Requiescat in pace", każesz ze wszystkich moździerzy parafialnych huknąć... Pamiętam... w Olszynce leci na mnie oficer dragoński, jak go chlasnę! Ale to było w dobrej sprawie, panie Dzięgielewski... Popraw no ten knotek w lampce przed Matką Boską Bolesną... Tak...

Po czym ksiądz Piotr przymknął powieki i począł drzemać, ale organiście się zdawało, że głowa opada staruszkowi coraz niżej i że oddycha coraz słabiej i słabiej...

Trwało to jakiś czas, aż się pan Dzięgielewski zaniepokoił i miał już wstać, aby przywołać pannę Capikównę, gdy zegar uderzył dwa razy na wpół do dziesiątej, i we drzwiach, wiodących z sieni do ganku, ukazał się mały Ignaś Znajda, w koszulinie i płóciennych majteczkach. Podszedł on ku fotelowi księdza Piotra i, pociągnąwszy go lekko za sutannę, ozwał się:

— Jegomość! Pójdźcie! Pani gospodyni kozeli pedzieć i prosi, coby jegomość śli spać. Pójdźcie, dojcie renke! Pomalucku, boście starzy... Jegomość...

Ale kiedy ksiądz Piotr nie poruszył się, ani nie odpowiedział, wówczas Ignaś podniósł wielkie oczy na pana Dzięgielewskiego i spytał:

— Panie organisto, cy jegomość pomarli?

HENRYK SIENKIEWICZ.

LATARNIK

I.

Pewnego razu zdarzyło się, że latarnik w Anspiwall, niedaleko Panamy, przepadł bez wieści. Ponieważ stało się to wśród burzy, przypuszczano, że nieszczęśliwy musiał podejść pod sam brzeg skalistej wysepki, na której stoi latarnia, i został spłukany przez bałwan. Przypuszczenie to było tem prawdopodobniejsze, że na drugi dzień nie znaleziono jego łódki, stojącej w skalistym wrębie. Zawakowało tedy miejsce latarnika, które trzeba było jak najprędzej obsadzić, ponieważ latarnia niemałe ma znaczenie tak dla ruchu miejscowego jak i dla okrętów, idących z New-Yorku do Panamy. Zatoka Moskitów obfituje w piaszczyste ławice i zaspy, między któremi droga nawet w dzień jest trudna, w nocy zaś, zwłaszcza wśród mgieł, podnoszących się często na tych ogrzewanych podzwrotnikowem słońcem wodach, prawie niepodobna. Jedynym wówczas przewodnikiem dla licznych statków bywa światło latarni. Kłopot wynalezienia nowego latarnika spadł na konsula Stanów Zjednoczonych, rezydującego w Panamie, a był to kłopot niemały, raz z tego powodu, że następcę trzeba było znaleźć koniecznie w ciągu dwunastu godzin; powtóre, następca musiał być nadzwyczaj sumiennym człowiekiem, nie można więc było przyjmować byle kogo; nakoniec wogóle kandydatów na posadę brakło. Życie na wieży jest nadzwyczaj trudne i bynajmniej nie uśmiecha się rozpróżniaczonym i lubiącym swobodną włóczęgę ludziom Południa. Latarnik jest niemal więźniem. Z wyjątkiem niedzieli nie może on wcale opuszczać swej skalistej wysepki. Łódź z Aspinwall przywozi mu raz na dzień zapasy żywności i świeżą wodę, poczem przywożący oddalają się natychmiast, na całej zaś wysepce, mającej morgę rozległości, niema nikogo. Latarnik mieszka w latarni, utrzymuje ją w porządku; w dzień daje znaki wywieszaniem różnokolorowych flag, wedle wskazówek barometru, w wieczór zaś zapala światło. Nie byłaby to wielka robota, gdyby nie to, że, chcąc się dostać zdołu do ognisk na szczyt wieży, trzeba przejść przeszło czterysta schodów krętych i nader wysokich, latarnik zaś musi odbywać tę podróż czasem i kilka razy dziennie. Wogóle jest

to życie klasztorne, a nawet więcej, niż klasztorne, bo pustelnicze. Nic też dziwnego, że Mr. Izaak Falconbridge był w niemałym kłopocie, gdzie znajdzie stałego następcę po nieboszczyku, i łatwo zrozumieć jego radość, gdy najniespodzianiej następca zgłosił się jeszcze tegoż samego dnia. Był to człowiek już stary, lat siedmiudziesiąt albo i więcej, ale czerstwy, wyprostowany, mający ruchy i postawę żołnierza. Włosy miał zupełnie białe, płeć spaloną, jak u kreolów, ale sądząc z niebieskich oczu, nie należał do ludzi Południa. Twarz jego była przygnębiona i smutna, ale uczciwa. Na pierwszy rzut oka podobał się Falconbridge'owi. Pozostało go tylko wyegzaminować, wskutek czego wywiązała się następująca rozmowa:

— Skąd jesteście ?

— Jestem Polak.

— Coście robili dotąd ?

— Tułałem się.

— Latarnik powinien lubić siedzieć na miejscu.

— Potrzebuję odpoczynku.

— Czy służyliście kiedy ? Czy macie świadectwa uczciwej służby rządowej ?

Stary człowiek wyciągnął z zanadrza spłowiały jedwabny szmat, podobny do strzępu starej chorągwi, rozwinął go i rzekł:

— Oto są świadectwa. Ten krzyż dostałem w roku trzydziestym [1]. Ten drugi jest hiszpański z wojny karlistowskiej [2]; ten trzeci to legja francuska [3]; czwarty otrzymałem na Węgrzech [4]. Potem biłem się w Stanach przeciw południowcom [5], ale tam nie dają krzyżów — więc oto papier.

Falconbridge wziął papier i zaczął czytać.

— Hm! Skawiński? To jest wasze nazwisko?... Hm!... Dwie chorągwie, zdobyte własnoręcznie w ataku na bagnety... Byliście walecznym żołnierzem !

— Potrafię być i sumiennym latarnikiem.

— Trzeba tam codzień wchodzić po kilka razy na wieżę. Czy nogi macie zdrowe ?

— Przeszedłem piechotą *pleny* [6]).

— *All right!* [7])

— Trzy lata służyłem na wielorybniku.

— Próbowaliście różnych zawodów ?

— Nie zaznałem tylko spokojności

— Dlaczego ?

Stary człowiek ruszył ramionami.

— Taki los...

— Wszelako na latarnika wydajecie mi się za starzy ?

— Sir! [8]) — ozwał się nagle kandydat wzruszonym głosem. — Jestem bardzo znużony i skołatany. Dużo, widzicie, przeszedłem. Miejsce to jest jedno z takich, jakie najgoręcej pragnąłem otrzymać. Jestem stary, potrzebuję spokoju! Potrzebuję sobie powiedzieć: tu już będziesz siedział, to jest twój port. Ach Sir! to od was tylko zależy. Drugi raz się może taka posada nie zdarzy. Co za szczęście, że byłem w Panamie... Błagam was... Jak mi Bóg miły, jestem jak

---

1) W czasie wojny polsko-roysjskiej 1830-31, czyli t.zw. rewolucji listopadowej; 2) wojna karlitowska — wojna domowa w Hiszpanji o tron pomiędzy królową-regentką, Krystyną, a pretendentem, Don Carlosem, bratem zmarłego Ferdynanda VII. (1833 — 1839); 3) Legja francuska — legja honorowa, francuski order zasługi, ustanowiony w r. 1802; 4) w czasie powstania węgierskiego 1848-49 r.; 5) w wojnie domowej stanów północnych Ameryki ze stanami południowemi (1861 — 1865); 6) Plenami nazywają niezmierne stepy między New-Yorkiem a Kalifornią. (Uw. uat.); 7) wszystko w porządku (ang.); 8) panie (ang.)

statek, który jeśli nie wejdzie do portu, to zatonie... Jeśli chcecie uszczęśliwić człowieka starego... Przysięgam, że jestem uczciwy, ale... dość mam już tego tułactwa...

Niebieskie oczy starca wyrażały tak gorącą prośbę, że Falconbridge ,który miał dobre, proste serce, czuł się wzruszony.

— *Well* [1]) — rzekł. Przyjmuję was. Jesteście latarnikiem.

Twarz starego zajaśniała niewypowiedzianą radością.

— Dziękuję.

— Czy możecie dziś jechać na wieżę ?

— Tak jest.

— Zatem *good bye!*.. [2]) Jeszcze słowo: za każde uchybienie w służbie dostaniecie dymisję [3]).

— *All right!*

Tegoż samego jeszcze wieczora, gdy słońce stoczyło się na drugą stronę międzymorza, a po dniu promiennym nastąpiła noc bez zmierzchu, nowy latarnik był już widocznie na miejscu, bo latarnia rzuciła, jak zwykle, na wody swoje snopy jaskrawego światła. Noc była zupełnie spokojna, cicha, prawdziwie podzwrotnikowa, przesycona jasną mgłą, tworzącą koło księżyca wielki, zabarwiony tęczowo krąg o miękkich, nieujętych brzegach. Morze tylko burzyło się, ponieważ przypływ wzbierał. Skawiński stał na balkonie, tuż koło olbrzymich ognisk, podobny zdołu do małego, czarnego punkciku. Próbował zebrać myśl i objąć swe nowe położenie. Ale myśl jego była nadto pod naciskiem, by mogła snuć się prawidłowo. Czuł on coś takiego co czuje szczuty zwierz, gdy wreszcie schroni się przed pogonią na jakiejś niedostępnej skale lub w pieczarze. Nadszedł nareszcie dla niego czas spokoju. Poczucie bezpieczeństwa napełniało jakąś niewysłowioną rozkoszą jego duszę. Oto mógł na tej skale poprostu urągać dawnemu tułactwu ,dawnym nieszczęściom i niepowodzeniom. Był on naprawdę, jak okręt, któremu burza łamała maszty, rwała liny, żagle, którym rzucała od chmur na dno morza, w który biła falą, pluła pianą — a który jednak zawinął do portu. Obrazy tej burzy przesuwały się teraz szybko w jego myśli w przeciwstawieniu do cichej przyszłości, jaka miała się rozpocząć. Część swych dziwnych kolei opowiadał sam Falconbridge'owi, nie wspomniał jednak o tysiącznych innych przygodach. Miał on nieszczęście, że ilekroć rozbił gdzie namiot i rozniecił ognisko, by się osiedlić stale, jakiś wiatr wyrywał kołki namiotu, rozwiewał ognisko, a jego samego niósł na stracenie. Spoglądając teraz z wieżowego balkonu na oświecone fale, wspominał o wszystkiem, co przeszedł. Oto bił się w czterech częściach świata — i na tułaczce próbował wszystkich niemal zawodów. Pracowity i uczciwy, nieraz dorabiał się grosza i zawsze tracił go wbrew wszelkim przewidywaniom i największej ostrożności. Był kopaczem złota w Australii, poszukiwaczem diamentów w Afryce, strzelcem rządowym w Indiach Wschodnich. Gdy w swoim czasie założył w Kalifornii farmę, zgubiła go susza; próbował handlu z dzikiemi plemionami ,zamieszkującemi wnętrze Brazylji: tratwa jego rozbiła się na Amazonce, on sam zaś bezbronny i prawie nagi tułał się w lasach przez kilka tygodni, żywią się dzikim owocem, narażony co chwila na śmierć w paszczy drapieżnych zwierząt. Założył warsztat kowalski w Helenie, w Arkanzas i — spalił się w wielkim pożarze całego miasta. Następnie w Górach Skalistych dostał si ęręce Indjan i cudem tylko został wybawiony przez kanadyjskich strzelców. Służył jako majtek na statku, kursującym między Bahią [4]) i Bordeaux, potem jako harpunnik [5]) na wielorybniku: oba stati rozbiły się. Miał

---

1) Dobrze (ang.); 2) do widzenia (ang.); 3) dymisja (z łac.) uwolnienie od służby; 4) Bahia (zw. również San Salvador), przez długi czas była stolicą Brazylji, adn zatoką tejże nazwy, ważny port dla wywozu tytoniu, kawy, kauczuku; 5) harpunnik — ten co jest zajęty przy harpunie. Harpun — oszczep z ostrzem trójkątnem do połowu wielorybów.

fabrykę cygar w Hawanie i — został okradziony przez wspólnika w chwili, gdy sam leżał chory na „vomito". Wreszcie przybył do Aspinwall — i tu miał być kres jego niepowodzeń. Cóż go bowiem mogło doścignąć jeszcze na tej skalistej wysepce? Ani woda, ani ogień, ani ludzie. Zresztą od ludzi Skawiński niewiele doznał złego. Częściej spotykał dobrych, niż złych.

Zdawało się natomiast, że prześladują go wszystkie cztery żywioły. Ci, co go znali, mówili, że nie ma szczęścia, i tem objaśniali wszystko. On sam wreszcie stał się trochę manjakiem. Wierzył, że jakaś potężna a mściwa ręka ściga go wszędzie, po wszystkich lądach i wodach. Nie lubił jednak o tem mówić; czasem tylko, gdy go pytano, czyja to miała być ręka, ukazywał tajemniczo na gwiazdę polarną i odpowiadał, że to idzie stamtąd... Rrzeczywiście niepowodzenia jego były tak stałe, że aż dziwne, i łatwo mogły zabić gwóźdź w głowie, zwłaszcza temu, kto ich doznawał. Zresztą miał cierpliwość Indjanina i wielką spokojną siłę oporu, jaka płynie z prawości serca. W swoim czasie na Węgrzech dostał kilkanaście pchnięć bagnetem, bo nie chciał chwycić za strzemię, które mu ukazywano jako środek ratunku, i krzyczeć: pardon. Tak samo nie poddawał się i w nieszczęściu. Lazł pod górę tak pracowicie, jak mrówka. Zepchnięty sto razy, rozpoczynał spokojnie swoją podróż po raz setny pierwszy. Był to w swoim rodzaju szczególniejszy dziwak. Stary ten żołnierz, opalony Bóg wie w jakich ogniach, zahartowany w biedach, bity i kuty, miał serce dziecka. W czasie epidemji na Kubie zapadł na nią dlatego, że oddał chorym wszystką swoją chininę, której miał znaczny zapas, nie zostawiwszy sobie ani grana [1].

Było w nim jeszcze i to dziwnego, że po tylu zawodach zawsze był pełen ufności i nie tracił nadziei, że jeszcze wszystko będzie dobrze. W zimie ożywiał się zawsze i przepowiadał jakieś wielkie wypadki. Czekał ich niecierpliwie i myślą o nich żył lata całe... Ale zimy mijały jedne za drugiemi, i Skawiński doczekał się tylko tego, że ubieliły mu głowę. Wreszcie zestarzał się — począł tracić energję. Cierpliwość jego poczynała być coraz podobniejszą do rezygnacji [2]. Dawny spokój zmienił się w skłonność do roztkliwiania się, i ten hartowny żołnierz jął przerabiać się w beksę, gotowego załzawić się z lada powodu. Prócz tego od czasu do czasu tłukła go najstraszliwsza nostalgja [3]), którą podniecała lada okoliczność; widok jaskółek, szarych ptaków podobnych do wróbli, śniegi na górach lub zasłyszana jakaś nuta, podobna do słyszanej niegdyś... Nakoniec opanowała go tylko jedna myśl: myśl spoczynku. Owładnęła ona starcem zupełnie i wchłonęła w siebie wszelkie inne pragnienia i nadzieje. Wieczny tułacz nie mógł już sobie wymarzyć nic bardziej upragnionego, nic droższego nad jaki spokojny kąt, w którymby mógł odpocząć i czekać cicho kresu. Może właśnie dlatego, że szczególne jakieś dziwactwo losu rzucało nim po wszystkich morzach i krajach tak, że prawie nie mógł tchu złapać, wyobrażał sobie, że największem ludzkiem szczęściem jest — tylko nie tułać się. Coprawda, to i należało mu się takie skromne szczęście, ale tak już był zwyczajny zawodów [4]), że myślał o tem, jak w ogóle ludzie marzą o czemś niedoścignionem. Spodziewać się nie śmiał. Tymczasem niespodzianie w ciągu dwunastu godzin dostał posadę, jakby wybraną dla siebie ze wszystkich na świecie. Nic też dziwnego, że, gdy wieczorem zapalił swoją latarnię, był jakby odurzony, że pytał sam siebie, czy to prawda, i nie śmiał odpowiedzieć: tak. A tymczasem rzeczywistość przemawiała do niego nieprzepartemi dowodami; więc godziny jedna za drugą spły-

---

1) Gran — jednostka wag aptekarskich — 62, 21 miligrama; 2) rezygnacja (z łac.) — pogodzenie się z losem, poddanie się woli boskiej. 3) Nostalgja (nowotw. z greck.) — tęsknota za ojczyzną, doprowadzająca do choroby, tęsknica; 4) zwyczajny czego ,gw. lud.) — przyzwyczajony do czego.

wały mu na balkonie. Patrzył, nasycał się, przekonywał. Mogłoby się zdawać, że pierwszy raz w życiu widział morze, bo północ wybiła już na aspinwalskich zegarach, a on jeszcze nie opuszczał swojej powietrznej wyżyny — i patrzył. W dole pod jego stopami grało morze. Soczewka latarni rzucała w ciemność olbrzymi ostrokrąg światła, poza którym oko starca ginęło w dali czarnej zupełnie, tajemniczej i strasznej. Ale dal owa zdawała się biegnąć ku światłu. Długie wiorstowe fale wytaczały się z ciemności i, rycząc, szły aż do stóp wysepki, a wówczas widać było spienione ich grzbiety, połyskujące różowo w świetle latarni. Przypływ wzmagał się coraz bardziej i zalewał piaszczyste ławice. Tajemnicza mowa oceanu dochodziła z pełni coraz potężniej i głośniej, podobna czasem do huku armat, to do szumu olbrzymich lasów, to do dalekiego, zmąconego gwaru głosów ludzkich. Chwilami cichło, potem o uszy starca obijało się kilka wielkich westchnień, potem jakieś łkanie — i znów groźne wybuchy. Wreszcie wiatr zwiał mgłę, ale napędził czarnych, poszarpanych chmur ,które przysłaniały księżyc. Z zachodu poczynało dąć coraz mocniej. Bałwany skakały z wściekłością na urwisko latarni, oblizując już pianą podmurowanie. Wdali pomrukiwała burza. Na ciemnej, wzburzonej przestrzeni zabłysło kilka zielonych latarek, pouwieszanych do masztów okrętowych. Zielone owe punkciki to wznosiły się wysoko, to zapadały wdół, to chwiały się na prawo i na lewo. Skawiński zeszedł do swej izby. Burza poczęła wyć. Tam, na dworze, ludzie na owych okrętach walczyli z nocą, z ciemnością, z falą; w izbie zaś spokojnie było i cicho. Nawet odgłosy burzy słabo przedzierały się przez grube mury, i tylko miarowe tik-tak! zegara kołysało utrudzonego starca jakby do snu.

II.

Zaczęły płynąć godziny, dnie i tygodnie... Majtkowie twierdzą, że czasem, gdy morze bardzo jest rozhukane, woła coś na nich wśród nocy i ciemności po nazwisku. Jeżeli nieskończoność morska może tak wołać, to być może, że gdy się człowiek zestarzeje, woła także na niego i inna nieskończoność, jeszcze ciemniejsza i bardziej tajemnicza, a im jest bardziej zmęczony życiem, tem milsze są mu te nawoływania. Ale, by ich słuchać, trzeba ciszy. Prócz tego starość lubi się odosabniać, jakby w przeczuciu grobu. Latarnia była już dla Skawińskiego takim pół-grobem. Nic jednostajniejszego, jak podobne życie na wieży. Młodzi ludzie jeśli się na nie godzą, to po pewnym czasie opuszczają służbę. Latarnik też bywa zazwyczaj człekiem niemłodym, posępnym i zamkniętym w sobie. Gdy wypadkiem porzuci swoją latarnię i dostanie się między ludzi, chodzi wśród nich, jak człowiek, zbudzony z głębokiego snu. Na wieży brak wszelkich drobnych wrażeń ,które w zwykłem życiu uczą stosować wszystko do siebie. Wszystko, z czem styka się latarnik, jest olbrzymie i pozbawione zwartych, określonych kształtów. Niebo — to jeden ogół, woda — to drugi, a wśród tych nieskończoności samotna dusza ludzka! Jest to życie, w którem myśl jest raczej ciągłem zadumaniem się, a z tego zadumania nie budzi latarnika nic, nawet jego zajęcia. Dzień do dnia staje się podobny, jak dwa paciorki w różańcu, i chyba zmiany pogody stanowią jedyną rozmaitość. Skawiński jednak czuł się tak szczęśliwym, jak nigdy w życiu nie był. Wstawał świtaniem, brał posiłek, czyścił soczewki latarni, a potem, siadłszy na balkonie, wpatrywał się w dal morską, i oczy jego nie mogły się nigdy nasycić obrazami, które przed sobą widział. Zwykle na olbrzymiem, turkusowem tle widać było stada wydętych żagli, świecących w promie-

niach słońca tak mocno, że aż oczy mrużyły się pod nadmiarem blasku; czasem statki, korzystając z wiatrów, które pasatami zowią, szły wyciągniętym szeregiem jedne za drugiemi, podobne do łańcucha mew lub albatrosów [1]). Czerwone beczki, wskazujące drogę, kołysały się na fali lekkim, łagodnym ruchem; między żaglami pojawiał się co dnia w południe olbrzymi szarawy pióropusz dymu. To parowiec z New-Yorku wiózł podróżnych i towary do Aspinwall, ciągnąc za sobą długi, spieniony szlak piany. Z drugiej strony balkonu widział Skawiński, jak na dłoni, Aspinwall i jego ruchliwy port, a w nim las masztów, łodzie i łódki; nieco zaś dalej białe domy i wieżyczki miasta. Z wysokości latarni domki były podobne do gniazd mew, łodzie do żuków ,a ludzie poruszali się, jak małe punkciki, na białym, kamiennym bulwarku [2]). Zrana lekki. wschodni powiew przynosił zmieszany gwar życia ludzkiego, nad którym górował świst parowców. W południe nadchodziła godzina siesty [3]). Ruch w porcie ustawał; mewy kryły się w szczerby skał, fale słabły i stawały się jakieś leniwe ,a wówczas na lądzie, na morzu i na latarni nastawała chwila niezmąconej niczem ciszy. Żółte piaski, z których odpłynęły fale, lśniły nakształt złotych plam na obszarach wodnych; słup wieżowy odrzynał się twardo w błękicie. Potoki promieni słonecznych lały się z nieba na wodę, na piaski i na urwiska. Wówczas i starca ogarniała jakaś niemoc, pełna słodyczy. Czuł, że ten odpoczynek, którego używa, jest wyborny, a gdy pomyślał, że będzie trwały, to mu już niczego nie brakło. Skawiński rozmarzał się własnem szczęściem, ale, że człowiek łatwo oswaja się z lepszym losem, stopniowo nabierał wiary i ufności, myślał bowiem, że, jeśli ludzie budują domy dla inwalidów, to dlaczegóżby Bóg nie miał wreszcie przygarnąć swego inwalidy? Czas upływał i utrwalał go w tem przekonaniu. Stary zżył się z wieżą, z latarnią, z urwiskiem, z ławicami piasku i samotnością. Poznał się także i z mewami, które niosły się w załamach skalnych, a wieczorem odprawiały wiece na dachu latarni. Skawiński rzucał im zwykle resztki swego jadła, tak zaś przyswoiły się wkrótce, że, gdy to czynił potem, to otaczała go prawdziwa burza białych skrzydeł, stary zaś chodził między ptactwem, jak pastuch między owcami. W czasie odpływu wyprawiał się na niskie, piaszczyste ławice ,na których zbierał smaczne ślimaki i piękne perłowe konchy żeglarków [4]), które odpływająca fala osadzała na piasku. W nocy, przy świetle księżyca i latarni chodził na ryby, któremi roiły się załamy skalne. Wkońcu pokochał swoją skałę i swoją bezbrzeżną wysepkę, porośniętą tylko drobnemi, tłustemi roślinkami, sączącemi lipką żywicę. Ubóstwo wysepki wynagradzały mu zresztą dalsze widoki. W południowych godzinach, gdy atmosfera [5]) stawała się bardzo przezroczystą, widać było całe międzymorze, aż do Pacyfiku [6]), pokryte najbujniejszą roślinnością. Skawińskiemu wydawało się wówczas, że widzi jeden olbrzymi ogród. Pęki kokosów i olbrzymich muz [7]) składały się jakby w przepyszne czubiaste bukiety, tuż zaraz za domami Aspinwallu. Dalej, między Aspinwall a Panamą, widać było ogromny las, nad którym co rano i pod noc zwieszał się czerwonawy opar wyziewów — las prawdziwie podzwrotnikowy, zalany u spodu stojącą wodą, oplątany lianami [8]), szumiący jedną falą olbrzymich storczyków, palm, drzew mlecznych, żelaznych i gumowych.

———————

1) Albatros — wielki ptak płetwonogi, żyjący na morzach południowych; odznacza się lotem wytrzymałym, znosi największe burze i wichry; 2) bulwar (franc. z niem.; wyraz mało używany) — bulwar — tu oznacza podmurowaną ulicę nad wybrzeżem morskiem; 3) siesta (z włosk.) — wypoczynek południowy, drzemka ; 4) Żeglarek (Argonauta) — mięczak z gromady głowonogich, żyje na pełnem morzu i doskonale pływa; 5) atmosfera (z greck.) — powietrze; 6) Pacyfik (z łac.) — Ocean Spokojny; 7) muza (z arab.) — banan; 8) liany (z hiszp. pnące się rośliny w lasach podzwrotnikowych.

Przez swą strażniczą lunetę stary mógł dojrzeć nietylko drzewa, nietylko rozłożyste liście bananów, ale nawet gromady małp, wielkich marabutów [1] i stada papug, wzbijające się czasem, jak tęczowa chmura nad lasem. Skawiński znał zbliska podobne lasy, gdyż po rozbiciu się na Amazonce błąkał się całe tygodnie wśród podobnych zielonych sklepień i gąszczów. Widział, ile pod cudną, śmiejącą się powierzchnią ukrywa się niebezpieczeństw i śmierci. Wśród nocy, jakie w nich spędził, słyszał zbliska grobowe głosy wyjców [2] i ryki jaguarów, widział olbrzymie węże, kołyszące się nakształt lianów na drzewach; znał owe senne jeziora leśne, przepełnione drętwami [3] i rojące się od krokodylów. Wiedział, pod jakiem jarzmem żyje człowiek w tych niezgłębionych puszczach, w których pojedyńcze liście przenoszą dziesięciokrotnie jego wielkość, w których roją się krwiożercze moskity, pijawki drzewne i olbrzymie jadowite pająki. Wszystkiego sam doznał, sam doświadczył, wszystko sam przecierpiał; to też tem większą mu teraz sprawiało rozkosz patrzeć z wysokości na owe matos [4]) podziwać ich piękność, a być zasłoniętym od zdrad. Jego wieża chroniła go przed wszelkiem złem. Opuszczał ją też tylko czasami wniedzielę z rana. Przywdziewał wtedy granatową kapotę strażniczą ze srebrnemi guzami, na piersiach zawieszał swoje krzyże, i jego mleczna głowa podnosiła się z pewną dumą, gdy słyszał przy wyjściu z kościoła, jak kreole [5] mówili między sobą: „Porządnego mamy latarnika". — „I nie heretyk, chociaż *Yankee!*" [6]) Wracał jednak natychmiast po mszy na wyspę i wracał szczęśliwy, bo zawsze jeszcze nie dowierzał stałemu lądowi. W niedzielę także odczytywał sobie hiszpańską gazetę, którą zakupywał w mięście, lub newyorskiego „Heralda", pożyczanego u Falconbridge'a — i szukał w nich skwapliwie wiadomości z Europy. Biedne stare serce! Na biła do wysepki, schodził z wieży na gawędę ze strażnikiem Johnsem. tej wieży strażniczej i na drugiej półkuli biło jeszcze dla kraju... Czasem także, gdy łódź, przywożąca mu codzień żywność i wodę, przy-Potem jednak widocznie zdziczał. Przestał bywać w mieście, czytywać gazety i schodzić na polityczne rozprawy Johnsa. Upływały całe tygodnie w ten sposób, że nikt jego nie widział, ani on nikogo. Jedynym znakiem, że stary żyje, było tylko znikanie żywności, pozostawianej na brzegu, i światło latarni, zapalane co wierzór z taką regularnością, z jaką słońce wstaje rankiem z wody w tamtych stronach. Widocznie stary zobojętniał dla świata. Powodem tego nie była nostalgja, ale właśnie to, że przeszła i ona nawet w rezygnację. Cały świat teraz zaczynał się dla starca i kończył się na jego wysepce. Zżył się już z myślą, że nie opuści wieży do śmierci, i poprostu zapomniał, że jest jeszcze coś poza nią. Przytem stał się mistykiem [7]) Łagodne, niebieskie jego oczy poczęły być, jak oczy dziecka, zapatrzone wiecznie i jakby utkwione w jakiejś dali. W ciągłem odosobnieniu i wobec otoczenia nadzwyczaj prostego a wielkiego począł stary tracić poczucie własnej odrębności, przestawał istnieć, jakby osoba, a zlewał się coraz więcej z tem, co go otaczało. Nie rozumował nad tem, czuł tylko bezwiednie, ale wkońcu zdawało mu się, że niebo, woda, jego skała, wieża i złote ławice piasku, i wydęte żagle, i me-

———————

1) Marabut — bocian indyjski.

2) Wyjec — małpa płaskonosa z rodziny ogonatek, wydaje głos przeraźliwy, chrapliwo-wyjący; 3) drętwa a. drętwik — nazwa, nadawiania strząśnień i uderzeń elektrycznych; 4) matos (hiszp.) — lasy zrotnikowe; 5) Kreol — krajowiec czystej krwi europejskiej w byłych osadach hiszpańskich i portugalskich Ameryki, Afryki oraz Indyj Wschodnich; 6) Yankee — Jankes nazwa szydercza, nadawana mieszkańcom Ameryki Półn. przez Anglików; 7) Mistyk — tu: człowiek, który przez kontemplację majestatu i wielkości przyrody dochodzi do ekstazy i odczuwa tajemniczą łączność swej duszy — z Bóstwem.

wy, odpływy i przypływy, to jakaś wielka jedność i jedna, ogromna tajemnicza dusza; on zaś sam pogrąża się w tej tajemnicy i czuje ową duszę, która żyje i koi się. Zatonął, ukołysał się, zapamiętał — i w tem ograniczeniu własnego ,odrębnego bytu, w tem pół-czuwaniu pół-śnie znalazł spokój tak wielki, że prawie podobny do pół-śmierci.

III.

Ale nadeszło przebudzenie.

Pewnego razu, gdy łódź przywiozła wodę i zapasy żywności, Skawiński, zeszedłszy w godzinę później z wieży, spostrzegł, że prócz zwykłego ładunku jest jeszcze jedna paczka więcej. Na wierzchu paczki były marki pocztowe Stanów Zjednoczonych i wyraźny adres „Skawiński Esq" [1]), wypisany na grubem żaglowem płótnie. Rozciekawiony starzec przeciął płótno i ujrzał książki: wziął jedną do ręki, spojrzał i położył napowrót ,przyczem ręce poczęły mu drżeć mocno. Przysłonił oczy, jakby im nie wierząc; zdawało mu się, że śni — książka była polska. Co to miało znaczyć!? Kto mu mógł przysłać książkę? W pierwszej chwili zapomniał widocznie, iż jeszcze na początku swej latarniczej karjery przeczytał pewnego razu w pożyczonym od konsula „Heraldzie" o zawiązaniu polskiego Towarzystwa w New-Yorku, i że zaraz przesłał Towarzystwu połowę swej miesięcznej pensji, z którą zresztą nie miał co robić na wieży. Towarzystwo, wywdzięczając się, przysyłało książki. Przyszły one drogą naturalną ,ale w pierwszej chwili starzec nie mógł pochwytać tych myśli. Polskie książki w Aspinwall, na jego wieży, wśród jego samotności, była to dla niego jakaś nadzwyczajność, jakieś tchnienie dawnych czasów: cud jakiś. Teraz wydało mu się, jak owym żeglarzom wśród nocy, że coś zawołało na niego po imieniu głosem bardzo kochanym, a zapomnianym prawie. Przesiedział chwilę z zamkniętemi oczyma i był prawie pewny, że, gdy je otworzy, sen zniknie. Nie! Rozcięta paczka leżała przed nim wyraźnie, oświecona blaskiem popołudniowego słońca, a na niej otwarta już książka.Gdy stary wyciągnął znowu po nią rękę ,słyszał wśród ciszy bicie własnego serca. Spojrzał: były to wiersze. Na wierzchu stał wypisany wielkimi literami tytuł, pod spodem zaś imię autora. Imię to nie było Skawińskiemu obce; wiedział, że należy ono do wielkiego poety, którego nawet i utwory czytywał po trzydziestym roku w Paryżu. Potem,, wojując w Algerze i w Hiszpanii, słyszał od rodaków o coraz wzrastającej sławie wielkiego wieszcza, ale tak przywykł wówczas do karabina, że i do ręki nie brał książek. W czterdziestym dziewiątym roku wyjechał do Ameryki i w awanturniczem życiu, jakie prowadził, prawie nie spotykał Polaków, a nigdy książek polskich. Z tem większą też skwapliwością i z tem żywiej bijącem sercem przewrócił kartę tytułową. Zdało mu się teraz, że na jego samotnej skale poczyna się dziać coś uroczystego. Jakoż była to chwila wielkiego spokoju i ciszy. Zegary aspinwallskie wybiły piątą godzinę popołudniu. Jasnego nieba nie zaciemniała żadna chmurka, kilka mew tylko pławiło się w błękitach. Ocean był ukołysany. Nadbrzeżne fale zaledwie bełkotały zcicha, rozpływając się łagodnie po piaskach. Wdali śmiały się białe domy Aspinwallu i cudne grupy palm. Naprawdę było jakoś uroczyście a cicho i poważnie. Nagle wśród tego spokoju

---

1) Esq. Esquire (ang.) — tytuł na listach: Szanowny Pan.

natury rozległ się drżący głos starego, który czytał głośno, by się samemu lepiej rozumieć.

„Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś, jak zdrowie!
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie...”

Skawińskiemu zbrakło głosu. Litery poczęły mu skakać do oczu; w piersi coś urwało się i szło nakształt fali od serca wyżej i wyżej, tłumiąc głos, ściskając za gardło... Chwila jeszcze: opanował się i czytał dalej:

„Panno Święta, co jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy
Nowogródzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
Jak mnie, dziecko, do zdrowia powróciłaś cudem,
(Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę
I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu
Iść, za wrócone życie podziękować Bogu),
Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono...”

Wezbrana fala przerwała tamę woli. Stary ryknął i rzucił się na ziemię; jego mleczne włosy zmięszały się z piaskiem nadmorskim Oto czterdzieści lat dobiegało, jak nie widział kraju, i Bóg wie ile, jak nie słyszał mowy rodzinnej, a tu tymczasem ta mowa przyszła sama do niego — przepłynęła ocean i znalazła go, samotnika, na drugiej półkuli, taka kochana, taka droga, taka śliczna! We łkaniu, jakie nim wstrząsało, nie było bólu, ale tylko nagle rozbudzona niezmierna miłość, przy której wszystko jest niczem... On poprostu tym wielkim płaczem przepraszał tę ukochaną, oddaloną za to, że się już tak zestarzał, tak zżył z samotną skałą i tak zapamiętał, iż się w nim i tęsknota poczynała zacierać. A teraz „wracał cudem” — więc się w nim serce rwało. Chwile mijały jedna za drugą: on wciąż leżał. Mewy przyleciały nad latarnię, pokrzykując, jakby niespokojne o swego starego przyjaciela. Nadchodziła godzina, w której je karmił resztkami swej żywności, więc kilka z nich zleciało z wierzchu latarni aż do niego. Potem przybyło ich coraz więcej, i zaczęły go dziobać lekko i furkotać skrzydłami nad jego głową. Szumy skrzydeł zbudziły go. Wypłakawszy się, miał teraz w twarzy jakiś spokój i rozpromienienie, a oczy jego były jakby natchnione. Oddał bezwiednie całą swoją żywność ptakom, które rzuciły się na nią z wrzaskiem, a sam wziął znowu książkę. Słońce już było przeszło nad ogrodami i nad dziewiczym lasem Panamy i staczało się zwolna za międzymorze, ku drugiemi oceanowi, ale i Atlantyk był jeszcze pełen blasku; w powietrzu widno zupełnie, więc czytał dalej:

Tymczasem przenoś duszę moją utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych...

. . . . ,
. . . . ,

Zmierzch dopiero zatarł litery na białej karcie: zmiarzch krótki, jak mgnienie oka. Starzec oparł głowę o skałę i przymknął oczy. A wówczas „Ta, co jasnej broni Częstochowy” zabrała jego duszę i przeniosła „do tych pól, malowanych zbożem rozmaitem”. Na niebie paliły się jeszcze długie szlaki czerwone i złote, a on w tych światłościach leciał ku stronom kochanym. Zaszumiały mu w uszach lasy sosnowe, zabełkotały rzeki rodzinne. Widzi wszystko, jak było.

Wszystko go pyta: „Pamiętasz?" On pamięta! a zresztą widzi: pola przestronne, miedze, łąki, lasy i wioski. Noc już! O tej porze już zwykle jego latarnia rozświecała ciemności morskie — ale teraz on jest we wsi rodzinnej. Stara głowa pochyla się na piersi i śni. Obrazy przesuwają się przed jego oczyma szybko i trochę bezładnie. Nie widzi domu rodzinnego, bo starła go wojna, nie widzi ojca ani matki, bo go odumarli dzieckiem; ale zresztą wieś, jakby ją wczoraj opuścił: szereg chałup ze światełkami w oknach, grobla, młyn, dwa stawy, podane ku sobie i brzmiące całą noc chórami żab. Niegdyś w tej swojej wiosce stał nocą na widecie [1]), teraz przeszłość ta podstawia się nagle w szeregu widzeń. Oto znowu jest ułanem i stoi na widecie: zdala karczma pogląda płonącemi oczyma i brzmi, i śpiewa, i huczy wśród ciszy nocnej tupotaniem, głosami skrzypiec i basetli. „U-ha! U-ha! To ułany krzeszą ognia podkówkami, a jemu tam nudno samemu na koniu! Godziny wloką się leniwo, wreszcie światła gasną; teraz,jak okiem sięgnąć mgła i mgła nieprzejrzana: opar widocznie podnosi się z łąk i obejmuje świat cały białawym tumanem. Rzekłbyś: zupełnie ocean. Ale to łąki: rychło czekać, jak derkacz ozwie się w ciemności, i bąki zahuczą po trzcinach. Noc jest spokojna i chłodna, prawdziwie polska noc! Woddali bór sosnowy szumi bez wiatru... jak fala morska. Wkrótce świtanie wschód ubieli: jakoż i kury pieją już w zapłociach [2]) .Jeden drugiemu podaje głos z chaty do chaty; wraz i żórawie krzyczą już gdzieś zwysoka. Ułanowi jakoś rzeźko, zdrowo. Coś tam gadali o jutrzejszej bitwie. Hej! to i pójdzie, jak pójdą inni z krzykiem i furkotaniem chorągiewek. Młoda krew gra, jak trąbka, choć powiew nocny ją chłodzi. Ale już świta, świta! Noc blednie: z cienia wychylają się lasy, zarośla, szereg chałup, młyn, topole. Studnie skrzypią, jakby blaszana chorągiewka na wieży. Jaka ta ziemia kochana, śliczna w różowych blaskach jutrzni! Oj, jedyna, jedyna!

Cicho! Czujna wideta słyszy, że się ktoś zbliża. Zapewne idą zluzować warty.

Nagle jakiś głos rozlega się nad Skawińskim:

— Hej, stary! wstawajcie. Co to wam?

Stary otwiera oczy i patrzy ze zdziwieniem na stojącego przed sobą człowieka. Resztki snu i widzeń walczą w jego głowie z rzeczywistością. Wreszcie widzenia bledną i nikną. Przed nim stoi Johns, strażnik portowy.

— Co to? — pyta Johns — chorzyście ?

— Nie.

— Nie zapaliliście latarni. Pójdziecie precz ze służby. Łódź z San-Geromo rozbiła się na mieliźnie, szczęściem nikt nie utonął; inaczej poszlibyście pod sąd. Siadajcie ze mną, resztę usłyszycie w konsulacie.

Stary pobladł: istotnie nie zapalił tej nocy latarni.

W kilka dni później widziano Skawińskiego na pokładzie statku, idącego z Aspinwall do New-Yorku. Biedak stracił posadę. Otwierały się przed nim nowe drogi tułactwa; wiatr porywał znowu ten liść, by nim rzucać po lądach i morzach, by się nad nim znęcać dowoli. To też stary przez te kilka dni posunął się bardzo i pochylił; oczy miał tylko błyszczące. Na nowe zaś drogi życia miał także na piersiach swoją książkę, którą od czasu do czasu przyciskał ręką, jakby w obawie, by mu i ona nie zginęła...

---

1) Wideta — żołnierz konny, postawiony w celu pilnowania ruchów nieprzyjacielskich pikieta; 2) zapłocie (gw. lud.; staropol. zapłotki) — miejsce za płotem, pastwisko za płotem.

Imp. J. E. P.
7, rue Cadet
Paris IX.

Cena: Fr. 15